



NR 7 (695)



ROK XXX 24. 04. 2020 r. egzemplarz bezpłatny ISSN 1231-9333 INDEKS 323659

Baligród - Cisna - Czarna - Komańcza - Lesko - Lutowska - Olszanica - Solina - Ustrzyki Dolne

Groźny patogen nie odpuszcza. Stosujemy się do wszystkich zaleceń i nakazów

Trwa walka z pandemią

Koronawirus SARS-CoV-2 w ciągu kilku miesięcy opanował niemal cały świat. Wykryto już ponad 2,6 mln przypadków zakażeń. Liczba osób zakażonych tym patogenem w Polsce 23 kwietnia przekroczyła 10 tys. osób i wciąż rośnie. W Podkarpaciu nadal są trzy powiaty, w których nie stwierdzono jeszcze zakażeń, w tym bieszczadzki.

Według danych Ministerstwa Zdrowia, liczba osób zakażonych koronawirusem rośnie systematycznie, mniej więcej w tej samej liczbie. Największa dobowo liczba zakażonych to ponad 500 przypadków (odnotowano ją 19 kwietnia). Ogółem jest już jednak ponad 10 tys. zakażonych; na Podkarpaciu potwierdzono ponad 280 przypadków.

Chorzy i ozdrowieńcy

Jak informuje Adam Sidor, wojewódzki inspektor sanitarny, najwięcej chorych jest w powiatach: rzeszowskim - razem z miastem Rzeszów (49), leżajskim (38), jasielskim (25) i stalowowolskim (26) (stan na 23 kwietnia, dane Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej w Rzeszowie).

- Do minionego czwartku na Podkarpaciu pod nadzorem pozostawały 63 osoby; 4321 poddanych było w kwarantannie, a 43 przebywały w izolacji domowej. W szpitalach przebywało ponad 140 zakażonych. Od początku wprowadzenia badań w kierunku koronawirusa SARS-CoV-2, w laboratorium WSEE wykonano 7015 testów. Badaniami laboratoryjnymi potwierdzono 279 przypadków choroby, 150 osób wyzdrowiało, a 16 zmarło.

Zakażonych wciąż nie ma (według informacji z 24 kwietnia) w powiecie bieszczadzkim, brzozowskim i kolbuszowskim. Powiatowa Stacja Sanitarnej-Epidemiologicznej w Ustrzykach Dolnych, obejmująca działalnością także powiat leski, skierowała na kwarantannę 127 osób, 8 zaś pozostaje

zakażony dla osób zarażonych koronawirusem SARS-CoV-2 i chorych na COVID-19 dla całego województwa podkarpackiego. Oznacza to, że na jego barkach leży los około 2 milionów mieszkańców. W związku z niegasnącą epidemią, łańcuch leczenia potrzebuje ciągłego



Fot. Pixabay.pl

pod nadzorem. Jak podaje starostwo, do tej pory w powiecie bieszczadzkim wykonano 26 testów, na kwarantannie przebywa 67 osób. W powiecie leskim na COVID-19 zachorowały 4 osoby, a wyzdrowiały 3. W sąsiednim powiecie sanockim w kwarantannie jest ponad 200 osób, chorych 7, a wyzdrowiały 2. Na całym Podkarpaciu odnotowano dotąd 128 ozdrowieńców.

Szpital potrzebuje wsparcia

Szpital w Łańcucie został wytypowany jako jednoimienny szpital

uzupełniania akcesoriów ochrony bezpośredniej, a także specjalistycznego sprzętu. W trosce o swoich pacjentów i personel medyczny zarząd szpitala udzielił pełnej zgody dla zbiórki pieniężnej, która powstała dzięki Stowarzyszeniu Natchnieni Bieszczadem w Cisnej. Zbiórka jest prowadzona za pośrednictwem Fundacji Siepomaga.pl.

- Wyszliśmy z inicjatywą, ponieważ osobiście mam kontakt z dyrektorem szpitala zakaźnego w Łańcucie - mówi Wiesław Kwaśniak, prezes Stowarzyszenia Natchnieni Bieszczadem. - Po rozmowach doszliśmy do

Wielkie szycie



Czytaj s. 3

Ministerstwa Zdrowia udostępniła swoje domy wczasowe także w Rynie nad Zalewem Zegrzyńskim.

W kwarantannie w Solinie przebywały 94 osoby, które wróciły do Polski z Włoch ostatnim samolotem w ramach akcji „Lot do domu”. Żadna nie zachorowała.

- Wyrazy uznania należą się pracownikom z naszych ośrodków, którzy w tych ciężkich i bezprecedensowych okolicznościach stanęli na wysokości zadania i w sposób profesjonalny podeszli do swoich obowiązków - mówi Piotr Szczepański, prezes spółki AMW „Rewita”. - Dla mnie to cisi bohaterowie tej pierwszej, może mniej spektakularnej niż medyczna, linii frontu. Wiem z codziennych rozmów, że pracują cały czas z pełnym poświęceniem, by zapewnić skierowanym do nas osobom opiekę, wyżywienie i zakwaterowanie na dobrym poziomie.

Otwarte lasy i parki

Od 16 kwietnia obowiązkowe jest zasłanianie nosa i ust w przestrzeni publicznej. W rozporządzeniu Ministerstwa Zdrowia nie sprecyzowano, że musimy nosić maseczki. Można zakrywać usta i nos również np. chustką czy szalikiem. Zwolnione z tego obowiązku są m.in. dzieci do lat czterech, osoby, które nie mogą zakrywać nosa i ust z powodu stanu zdrowia, czy też kierujący pojazdami.

Od 20 kwietnia ponownie otwarto lasy i parki. Zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów, w lesie, na szlaku noszenie maseczki nie jest obowiązkowe, ale w parkach miejskich już tak. Otwarte zostały też parki narodowe w tym BdPN (więcej na s. 2).

Ważną zmianą jest zezwolenie na przemieszczanie się w celach rekreacyjnych. Nadal jednak obowiązkowo musimy zachowywać na spacerach dwumetrowy dystans. Korzystanie z placów zabaw wciąż jest zabronione. Trwa oczekiwanie na kolejne etapy luzowania restrykcji. Chodzi m.in. o otwarcie hoteli, pensjonatów czy galerii handlowych.

Największym ogniskiem koronawirusa są obecnie Stany Zjednoczone, gdzie zdiagnozowano już ponad 850 tys. zakażonych. W Hiszpanii liczba chorych przekroczyła 200 tys., we Włoszech zbliża się do tej granicy. Na całym świecie od początku epidemii zmarło już ponad 180 tys. osób.

Trwają wysiłki naukowców, by jak najlepiej poznać koronawirus SARS-CoV-2 i opracować szczepionkę oraz lek na wywołaną przez niego chorobę COVID-19. Na świecie codziennie pracuje nad tym już sto niezależnych zespołów badawczych.

paba, pwk

Przedsiębiorstwo Produkcyjno - Handlowe

DANKROS

100% WOOD PREMIUM QUALITY

100% ECO

PELLET DRZEWNY

- GWARANTOWANA WYSOKA JAKOŚĆ
- NISKA ZAWARTOŚĆ POPIOŁU
- PRODUKT PRZYJAZNY ŚRODOWISKU
- PAKOWANY W WORKI 15 KG LUB WORKI BIG BAG

EN plus A1

PL 023

Krościenko / 38-700 Ustrzyki Dolne www.dankros.com

tel / 13 461 14 69 dankros@dankros.com

FREZOWANIE ROZWIERCANIE KOMINÓW

Wkłady żaro - kwaso odporne

sprzedaż - montaż

+48 604 500 288

www.rozwiercaniekominow.pl

AUTOMATYCZNE UKŁADY NAWĘGLANIA

PODAJNIKI NA: EKOGROSZEK, MIAŁ, PELLET, OWIES. OD 12KW DO 150 KW

+48 605 530 288

Chata Socjologa w potrzebie

Słynne schronisko, wybudowane w latach siedemdziesiątych na Otrycie przez warszawskich studentów, może przestać działać. – Jeśli nie pomogą nam ludzie dobrej woli, nie zdołamy się utrzymać – nie ukrywają działacze Klubu Otryckiego.

Na profilu Stowarzyszenia na Facebook'u zamieścili apel, w którym proszą miłośników Bieszczadów o wsparcie. „Skutki pandemii koronawirusa nie ominęły również Klubu Otryckiego. Dziś dalsze funkcjonowanie legendarnej Chaty Socjologa jest zagrożone. Przychody stowarzyszenia z dnia na dzień spadły do... zera. Nie prowadzimy działalności gospodarczej, nie otrzymujemy więc żadnych dotacji i instytucjonalnego wsparcia, a działalność Domu Pracy Twórczej Chata Socjologa finansowana jest wyłącznie z dobrowolnych datków,

Pieniądze można wpłacać bezpośrednio na konto Stowarzyszenia: Stowarzyszenie „Klub Otrycki” Volkswagen Bank Polska S.A. 95 2130 0004 2001 0318 7820 0001 z dopiskiem POMOC DLA CHATY SOCJOLOGA lub za pośrednictwem zbiórek organizowanych wkrótce na FB.

składek członkowskich i darowizn od gości”.

Żeby Chata na Otrycie mogła funkcjonować, miesięcznie potrzeba 4 tys. zł. – Obecnie pokrywamy tę kwotę z rezerw inwestycyjnych przeznaczonych na bieżące i większe remonty, zakup czy naprawę niezbędnych narzędzi i sprzętów, ale funduszy wystarczy jedynie na kilka miesięcy – informują w Klubie Otryckim. – Mamy nadzieję, że nie zabraknie ludzi chętnych do pomocy i wspólnymi siłami wyjdziemy z impasu. A potem spotkamy się na szczycie Otrytu, by cieszyć się z powrotu do normalności.

W ciągu kilkudziesięciu lat przez Chatę Socjologa przewinęło się tysiące turystów, działaczy różnych ugrupowań i opcji politycznych, wybitnych poetów i pieśniarzy, filozofów. Chętnie zaglądali tu również legendarni dziś ludzie Bieszczadów: Jurek Dwa Tysięcy, Johan Cudzich, Zdzisław Rados, Ryszard Krzeszewski czy Wieńczysław Nowacki. Wszyscy oni wpisali się w historię schroniska, podobnie jak leśnicy z Lutowisk – Wojmir Wojciechowski i Tadeusz Zajac. To dzięki ich pomocy stołeczni socjologowie z Uniwersytetu Warszawskiego mogli nabyć drewno na budowę pierwszej chaty. Spłonęła w 2003 roku, ale zdołano ją odbudować.

pot



Turyści przed Chatą Socjologa, jesień 2019

Fot. Krzysztof Potaczała

Rozmowa z dr. Ryszardem Prędkim, dyrektorem Bieszczadzkiego Parku Narodowego

Wycieczki wskazane, ale krótkie



Fot. Archiwum BPN

- 20 kwietnia Bieszczadzki Park Narodowy ponownie otworzył szlaki turystyczne. Jakie ograniczenia obowiązują turystów?

- Udostępnienie parków narodowych było decyzją administracyjną ministerstwa środowiska. Otwarcie parków i lasów to pierwszy krok w łagodzeniu restrykcji związanych z epidemią. Byłem w górach kilka dni temu i mogę powiedzieć, że na szlakach był jeszcze bardzo mały ruch. Na razie nie planujemy otwierać żadnych obiektów służących edukacji przyrodniczej (w tym muzeum). Zamknięte są wiaty, deszczochrony czy pola biwakowe – czyli miejsca, w których mogą gromadzić się turyści. Jednak postaramy się uruchomić punkty informacyjno-kasowe. Gdyby ktoś chciał kupić bilet lub wodę – bo w przyszłości prawdopodobnie mały handel ruszy – to oczywiście skorzysta z tej możliwości. Rusza również internetowa sprzedaż biletów wstępu. Ważną sprawą będzie uruchomienie kolejnych obiektów sanitarnych (mamy ich 16), które były zwykle otwierane w takim jak obecnie czasie, przed długim weekendem. Zapewnimy dla turystów mydło w płynie, a na punktach będzie można skorzystać ze środka dezynfekcyjnego. Pamiętajmy też o zasłanianiu ust i nosa na parkingach i powierzchniach widokowych oraz o zachowaniu dwumetrowych odstępów.

- Park utrzymuje się w dużej mierze z wpływów za bilety wstępu. Teraz w górach z wiadomych powodów pustki, ale kiedyś obostrzenia się skończą. Sądzi Pan, że turyści od razu ruszą w Bieszczady?

Za wcześniej o tym mówić. Czekamy na to, jak się rozwine sytuacja, bo jest bardzo dynamiczna. Nie wiadomo, co będzie za miesiąc. Teraz udostępniamy park dla wędrowców, ale chcielibyśmy, aby to były krótkie wycieczki, gdyż ze względów bezpieczeństwa nie udostępniamy infrastruktury. W tym momencie jakiegokolwiek zakupy można zrobić tylko

w sklepach w Ustrzykach Górnych, za jakiś czas również w Wołosatę. Pamiętajmy też, że jesteśmy po zimie, czyli okresie indywidualnej kwarantanny, więc nasza kondycja na ogół nie jest najlepsza. Dlatego jeśli zachęcam do wędrowek, to raczej do krótkich i po to, by złapać nieco świeżego powietrza i poczuć ożywcze oddziaływanie natury.

- Nie obawia się Pan, że przez brak turystów sytuacja finansowa parku znacznie się pogorszy i wpłynie na jego funkcjonowanie?

- Mamy jeszcze inne, dodatkowe źródła utrzymania. Dostajemy dotację budżetową, która pokrywa jedną trzecią kosztów funkcjonowania. Przychody z turystyki stanowią też około jednej trzeciej, a reszta to projekty, które najprawdopodobniej będą realizowane. Czerpiemy też środki z Funduszu Leśnego czy dopłat rolno-środowiskowych. Ale rzeczywiście musimy gromadzić pieniądze na zabezpieczenie podatku VAT. Bardzo dużo kosztuje utrzymanie Zachowawczej Hodowli Konia Huculskiego, ujęć wody, oczyszczalni ścieków czy ponad dwustu budynków własnych. Wiadomo więc, że problemy finansowe nas dosięgną, jeśli nie będzie przychodów z turystyki. Pamiętajmy też, że prawie czterysta tysięcy złotych park rocznie przekazywał GOPR-owi, właśnie z biletów wstępu; czyli piętnaście procent przychodów. Około dwudziestu procent „z biletów” dostają osoby z bieszczadzskich gmin, które obsługują punkty informacyjno-kasowe czy parkingi. To też dla nas istotny koszt. Utrzymanie infrastruktury turystycznej na rozległym terenie również kosztuje. Do tego dochodzą podatki, które są odprowadzane do kas gmin. *De facto* zostaje nam około trzydziestu procent z biletów. Dodatkowo koszty w wysokości od osiemdziesięciu do stu tysięcy to utrzymanie bezpłatnych toalet.

- Nie ma turystów, zatem można bez przeszkód pracować przy budowie nowego schroniska na Poloninie Wetlińskiej. Jak będą wyglądać prace w najbliższych miesiącach?

- „Chatka Puchatka jest wciąż zamknięta dla turystów i w tym roku już nie będzie otwierana. W maju zacznie się przebudowa - rozbiórka starego budynku. Następnie planujemy budowę przyziemia, czyli podpiwniczenia i użycie niektórych materiałów, z których budynek jest wzniesiony. Wykorzystamy ich część, szczególnie kamień do przebudowy oraz do konstrukcji tarasu widokowego. Liczymy, że w tym roku doprowadzimy do stanu surowego. W przyszłym planujemy zakładanie instalacji i wyposażanie. Zmieniamy właśnie przebieg szlaku turystycznego, aby turyści nie mogli dojechać do miejsca, które jest placem budowy i będzie wkrótce ogrodzone. Podyktowane jest to względami bezpieczeństwa. Prosimy śledzić komunikaty na naszej stronie i w mediach społecznościowych, zamieszczamy tam wiele oryginalnych materiałów o parku.

PAULINA BAJDA

Sprawdzian

W permanentnym dialogu władzy z opozycją co chwilę słychać: „sprawdzian”. Właśnie teraz sprawdzianowi poddani zostaliśmy wszyscy, całe społeczeństwo, ogół obywateli. Większość z nas łagodnemu, na podstawowym poziomie, praktycznie biernym, część poważniejszemu, gdzie wymagania są już zdecydowanie wyższe. Innej zaś części, liczebnie znikomej, przypadło w udziale zadanie najtrudniejsze: bezpośrednie starcie z wirusem.

Trwa wojna z wirusem - mówią politycy, a w mediach powtarzają komentatorzy. Kolejnego dnia mówią to najpierw komentatorzy, powtarzają zaś politycy. Tak mówią, tak z dumą w sposób przekonujący perorują, bo wojnę rzeczywiście prowadzą, ale przecież to nie oni bezpośrednio stykają się z wrogiem. Jest jak to na wojnie: słyszymy i wodzów, i propagandystów. Za linią frontu, po ciemnej stronie mocy jest wirus. Po naszej, jasnej stronie, jest lekarz i ratownik, pielęgniarka i salowa, inspektor sanitarny, laborant i badacz-naukowiec dzierzący wirusa pojmanego w probówkę.

Dziesiątki roczników absolwentów szkół oficerskich i akademii wojskowych, kształcących się w złożonej materii rozstrzygnięcia skomplikowanych problemów pola walki, zakończyło emeryturą karierę z rzadka urozmaicaną hukami ślepej amunicji, detonacjami petard i mgłą ze świecy dymnej pozorującej nad poligonem chmurę trującego gazu. W takim, „bezwojennym”, przyszło im służyć czasie. Iluż pracowników SANEPIDU przez lata bezpiecznie i rutynowo kontrolowało stoiki z żupą w lodówkach szkolnych stołówek, sprawdzało obecność wader z chlorem w latrynach obozów harcerskich i baz studenckich, ścigało mandatami koty w kuchniach bieszczadzskich schronisk, wczytywało się w zaświadczenia o szczepieniu przeciw wścieklicznie osła na Poloninie i



Po co w trawie piszczy

owczarków z podhalańskich wypasów. Taka była praca inspektorów sanitarnych w czas „pokoju”, była ich – obserwowana z zewnątrz – codziennością; jednych drażniła, innych śmieszyła. To była profi-laktyka, szukanie przeciwnika, dążenie do unicestwienia go nim się ujawni, nim zaatakuje, nim wyda nam wojnę. Właśnie nam wydał, na skalę pandemii.

Paradujemy w maseczkach. To ja mam kogoś nie zarazić, czy ten ktoś mnie? Nawet występujący na ekranach telewizorów instruktorzy od maseczek mają na ten temat niespójne zdania. Nie szkodzi. Ważne, że ja noszę i że on nosi, bo w gruncie rzeczy o to chodzi. Przed rokiem na ulicach polskich miast przybywało maseczek, podobnie prymitywnych, ale praktycznych, skutecznych. Były konieczną ochroną dla płuc atakowanych kłębiem węglowego dymu z archaicznych kopciuchów. Były więc jednocześnie przejawem dbałości o własne zdrowie, ale też po części manifestacją postawy, sygnałem osobistej niezgody na degradację środowiska, na smog. Plakaty z trupią czaszką, plakaty z człowiekiem w masece, z człowiekiem w maseczce. Wspomnienie, nie stare przecież, bo ledwie sprzed roku, tamtych maseczek, to wspomnienie – z dzisiejszej perspektywy – dawnych, dobrych „pokojowych” czasów. Jeszcze do nich wrócimy.

JAKUB DEMEL

Gmina nie musi zwracać dotacji

Ministerstwo Finansów uchyliło decyzję wojewody podkarpackiego, nakazującą gminie Ustrzyki Dolne zwrot prawie 2 mln zł dotacji na przebudowę drogi Stebnik – Krościenko. - Spodziewaliśmy się, że tak będzie – przyznaje Bartosz Romowicz, burmistrz Ustrzyk Dolnych.

O sprawie Gazeta Bieszczadzka pisała już kilkakrotnie. Przypomnijmy: wojewoda podkarpacki w 2019 r. stwierdziła, że gmina Ustrzyki Dolne nieprawidłowo wykorzystwała dotację z budżetu państwa na przebudowę drogi gminnej. Przekonywała, że burmistrz Ustrzyk

prac objętych umową dotacyjną nie zrealizowano w pełnym zakresie.

Przeprowadzono kontrolę. Pracownicy wojewody stwierdzili m.in., że pobocza nie zostały wykonane w pełnym zakresie. Warstwy ścieralnej nie położono na całej długości przebudowywanego

w ubiegłym roku zainteresowała się także CBA i nadal prowadzi czynności sprawdzające.

- Ministerstwo nakazało wojewodzie ponowne rozpatrzenie sprawy, gdyż postępowanie nie zostało zrobione dokładnie – tłumaczy Bartosz Romowicz. - Nie ustalono między innymi, czy został wykonany cały zakres prac. Oparto się na błędnych ustaleniach. Teraz należy udokumentować, co zostało zrobione dobrze, a co źle.

Minister finansów zlecił wyjaśnienie zakresu wykonanych prac i poddanie ich ocenie oraz wyjaśnienie wykładni w świetle przepisów prawa. W dokumencie czytamy: „(...) nie wyjaśniono w sposób nie budzący wątpliwości (...) czy i jaka część zadania „Przebudowa drogi gminnej Krościenko - Stebnik” mogła zostać uznana za wykonaną zgodnie z celem i na warunkach określonych w umowie dotacyjnej oraz czy w tej części w całości dotacja została wykorzystana zgodnie z przeznaczeniem. Ponadto, w zakresie ustaleń dotyczących robót, których nie wykonano w ramach zadania wskazano m.in. jedynie, że pobocza nie wykonano w pełnym zakresie objętym umową, bez ustalenia oraz precyzyjnego wskazania np. na jakim konkretnie odcinku nie wykonano przedmiotowych poboczy i na czym wskazane uchybienie miało polegać, tj. których prac objętych umową przy budowie poboczy nie wykonano.”

Ministerstwo dodaje, że należy ustalić stan faktyczny i dokonać oceny z perspektywy przepisów prawa materialnego. „(...) rozstrzygnięcie powinno być wykonane na podstawie całokształtu materiału dowodowego, który (...) uzasadniać będzie ocenę i przyczyny podjęcia rozstrzygnięcia”.

- Zobaczymy, jaka teraz będzie decyzja wojewody. W związku z epidemią nie wiemy, kiedy zostanie wydana – mówi burmistrz.

paba



Fot. Magdalena Kuzar

Maszyny pracują non stop

Maseczki ochronne to dzisiaj towar pierwszej potrzeby. Szyte są w dużych ilościach w każdej gminie i trafiają do potrzebujących.

- Mimo iż od początku odzew ze strony mieszkańców był bardzo duży, nikt nie spodziewał się aż tak wielu rąk na pokładzie. Jestem wdzięczny mieszkańcom gminy, że potrafią wspólnie i bezinteresownie pomagać innym – mówi Bartosz Romowicz, burmistrz Ustrzyk Dolnych. - Podjęliśmy również decyzję, że maseczki dla mieszkańców zostaną kupione ze środków rezerwy kryzysowej. Są pakowane do pojedynczych kopert, a następnie będziemy je wkładać do skrzynek na listy. Mam nadzieję, że trafią do każdego mieszkańca gminy.

Dzięki zaangażowaniu tylu osób i instytucji, z akcji szycia maseczek wypłynęła akcja „Maseczki dla Seniorów 60+”, ta z kolei przekształciła się w „Maseczki dla Mieszkańców 50+”. Stało się tak dzięki zaangażowaniu pracowników jednostek podlegających pod ustrzycki magistrat. Do akcji włączyły się m.in. szkoły, przedszkola, żłobek czy Ustrzycki Dom Kultury. Maszyny do szycia uruchomiły też panie z Kół Gospodyń Wiejskich oraz druhowie z Ochotniczych Straży Pożarnych, którzy również roznoszą maseczki po domach. Także ustrzyckie sklepy walczą w hurtowniach o ostatnie metry materiałów i gumek, by później przekazać je osobom pracującym przy maszynach.

Czas naprawić maszyny

Do akcji włączyli się m.in. ustrzyccy radni z powiatu i gminy, sołtysi, podopieczni Akademii Bieszczadzkiego Seniora, Bieszczadzkie Stowarzyszenie na Rzecz Dzieci Niepełnosprawnych „Promyk Nadziei”. - Przypomniałam sobie, że mam na strychu zepsutą maszynę do szycia – mówi Bożena Bałkota, radna miejska. - Poprosiłam zięcia oraz męża, by ją naprawili, no i szyję. To bardzo potrzebna akcja, musimy dbać o siebie w tym ciężkim czasie.

Z pomocą ruszył także Wiesław Buż, poseł na Sejm RP. Przekazał on 200 metrów materiału, nici i gumki do ustrzyckiego żłobka, w którym od początku akcji uszyto już 900 maseczek. - Burmistrz Ustrzyk Dolnych poinformował mnie, że w całej gminie szyte są maseczki, ale zaczyna brakować materiałów. Dlatego bez zastanowienia kupiłem potrzebny materiał i ruszyłem do Ustrzyk, po drodze zahaczając o Lesko, gdzie maseczki szyją między innymi pracownicy szpitala. Takie akcje trzeba wspierać; w tych trudnych czasach musimy się jednoczyć bez względu na przekonania polityczne – podkreśla.

Nikt nie jest obojętny

W gminie Czarna do akcji włączyły się kobiety z Koła Gospodyń Wiejskich Babiniec Czarna i Przyjaciele, sołectwa, sołtysi oraz panie ze Szkoły Podstawowej w Czarnej. Dzięki wspólnej pracy udało się uszyć ponad 300 maseczek, które zostaną przekazane dla seniorów w gminie.

W Lutowiskach za szycie wzięły się członkinie Bieszczadzkiego Stowarzyszenia Kobiet Aktywnych. - Szyjemy i szyć będziemy – zapowiada Wioletta Kubicka. - To maseczki wielokrotnego użytku, które następnie przekazujemy seniorom. Maszyny do szycia pracują pełną parą.

Do akcji włączyła się ponadto Rada Gminy Lutowska i Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej.

W Lesku maseczki szyte są m.in. w szpitalu oraz w Domu Samopomocy, a pracownicy magistratu rozdali bezpłatnie 1000 sztuk. W Solinie akcję zainicjował Gminny Ośrodek Pomocy Społecznej, gdzie produkowane są maseczki dla seniorów. W Olszaniczy do pracy przyłączyło się Stowarzyszenie Miłośników Olszaniczy i Okolic oraz Służba Więzienna. Pracownicy tutejszego Ośrodka Doskonalenia Kadr Służby Więziennej uszyli już ponad 500 maseczek i przekazali je do Domu Pomocy Społecznej w Mocarach. - Ważne było zaangażowanie całej załogi. Materiał kupiliśmy z własnych funduszy, każdy dorzucił do wspólnego koszyka tyle, ile chciał – mówi ppłk Adam Nieznański, komendant Ośrodka.

Zaangażowało się też Starostwo Powiatowe w Lesku, które dostarczyło do Ośrodka materiał na maseczki.

PKW, paba



Droga, która po anonimowym donosie stała się problemem ustrzyckiego samorządu

Fot. Jacek Bis

nie wywiązał się z obowiązków w zakresie wykorzystania pieniędzy publicznych otrzymanych w 2018 r. na przebudowę szosy. 1 976 868,00 zł na realizację zadania dotyczącego usuwania skutków klęsk żywiołowych, pochodziło z dotacji z budżetu państwa. Po kontroli wojewoda zaleciła ich zwrot wraz z odsetkami.

Wojewoda wszczęła dochodzenie po anonimowym donosie mieszkańca Ustrzyk Dolnych, który poinformował o – jego zdaniem – naruszeniu prawa podczas remontu drogi. Do pisma dołączył fotografie, z których miało wynikać, że

odcinka drogi oraz nie odmulono odpowiednio długiego odcinka. Wojewoda nie miała natomiast żadnych zastrzeżeń do przetargów zleconych przez gminę.

Burmistrz kilkakrotnie zapewniał, że dotacja na drogę Stebnik - Krościenko została wykorzystana zgodnie z celem, a za atakami na niego stoją przeciwnicy polityczni. Od decyzji wojewody odwołał się do ministra finansów. Inwestycję skontrolował też dodatkowo nadzór budowlany. Inspektorzy stwierdzili, że roboty wykonano zgodnie z planem, nie ma więc podstaw do wszczęcia postępowania. Sprawa

Remonty na bieszczadzskich drogach

Gminy i powiaty otrzymały dofinansowanie z Funduszu Dróg Samorządowych. Wyremontowane zostaną m.in. drogi w Ustrzykach Dolnych, Lesku, Czarnej i Zatwarnicy.

Na listach podstawowych w województwie podkarpackim znalazło się 103 zadania gminne, które będą dofinansowane w wysokości ponad 90 mln zł oraz 45 zadań powiatowych z dofinansowaniem prawie 84 mln zł.

W powiecie bieszczadzkim

Ponad 1 mln zł z Funduszu Dróg Samorządowych trafi do gminy Ustrzyki Dolne. Przebudowany zostanie odcinek ul. Nadgórnej oraz ul. Rzecznęj i PCK.

- Zakres prac obejmie wykonanie nowej warstwy ścieralnej drogi, prawostronnego chodnika – informuje Bartosz Romowicz, burmistrz Ustrzyk Dolnych. – Przy ulicy Nadgórnej zbudowane zostanie wyniesione przejście dla pieszych, przebudowie ulegną między innymi skrzyżowania: z ulicą Rzeczną, Jana Pawła II i Pionierską.

W ramach projektu przebudowy drogi gminnej na odcinku ul. Rzecznęj - ul. PCK dodatkowo zostanie

przebudowany przepust oraz cztery skrzyżowania, m.in. z ul. Nadgórnej i odcinkiem bocznym ul. Rzecznęj.

Szacunkowy koszt przebudowy ul. Nadgórnej przed przetargiem to 799 825,95 zł, natomiast odcinka ul. Rzecznęj - ul. PCK – 1 291 202 zł.

Starostwo Bieszczadzkie otrzymało wsparcie m.in. na przebudowę 2,5 km fragmentu drogi Ustjanowa – Daszówka, pomiędzy Łobozewem a Teleśnicą. Całość zadania to 2 mln 424 tys. zł, (całość dofinansowania to 1 mln 818 tys. zł). Inwestycja jest kontynuacją przebudowy drogi Łobozew – Bóbrka, rozpoczętej już w tym roku za kwotę 2 mln 200 tys.

Kolejne pieniądze – 541 tys. zł – przyznano na półkilometrowy odcinek drogi w Bandrowie. Tu dofinansowanie wyniesie 406 tys. zł. Inwestycja jest kontynuacją trwającej przebudowy drogi przez Bandrów.

Jednym z najbardziej oczekiwanych przez mieszkańców powiatu remon-

tów jest odcinek drogi Zatwarnica – Rajskie. Wyremontowane zostanie ponad 250 m drogi, odchodzącej od głównej szosy powiatowej w Zatwarnicy. Ponadto w tym roku za prawie 5 mln zł przebudowana będzie droga przez Równię.

Na liście zatwierdzonej do dofinansowania znalazła się również inwestycja zgłoszona przez Gminę Czarna. Dzięki uzyskaniu 80 proc. dofinansowania (513 tys. zł), powstanie niebawem droga gminna w Czarnej Górnej, potocznie nazywana „Przekaznik”.

W powiecie leskim

Powiat leski z Funduszu Dróg Samorządowych uzyskał pomoc na przebudowę traktu Wańkowa - Dźwiniacz - Brzegi Dolne. Od lipca do października 2020 roku ma być wyremontowany odcinek o długości 1 km 400 m.

W tym roku remontów dróg mogą spodziewać się też mieszkańcy gminy Lesko. Z FDS przebudowie ulegnie ul. Widokowa w Lesku na długości 0,668 km. Prace rozpoczną się latem i potrwają do jesieni.

Długość dróg lokalnych na Podkarpaciu, które zostały zaplanowane do przebudowy lub remontu wynosi łącznie 192,8 km.

paba



Rodzina niedźwiedzi w bieszczadzkim lesie
Fot. Fotopułapka/Archiwum Kazimierza Nózki



Niedźwiedź brunatny to zwierzę dostojny i piękny, ale lepiej trzymać się od niego z daleka
Fot. Grzegorz Leśniewski

(Nie)pokój brunatnego drapieżcy

W Bieszczadach znowu przybyło małych niedźwiadków. Urodziły się w styczniu, a niedawno wyszły na pierwszy spacer. Matki uczą je teraz, jak radzić sobie w życiu i unikać ludzi.

Szukający poroży mężczyzna nie przewidział, jak może się zakończyć niespodziewane spotkanie z niedźwiedziem. Gdyby zachował zimną krew, może udałoby mu się wycofać i zniknąć z pola widzenia drapieżnika. Zanim pomyślał, co zrobić, wielki zwierzę był już przy nim. Parę godzin później zbieracz trafił do szpitala. Złożono mu 160 szwów, gips na połamane ręce i obandażowano od stóp do głowy. Ale może mówić o szczęściu, bo przeżył.

Człowiek to igraszka

Zdarzyło się to przed laty, jednak może się zdarzyć dzisiaj, jutro, za tydzień. Wiosną, kiedy niedźwiedzice pilnują potomstwa, są szczególnie niebezpieczne dla dwunogów. Patrzą na ludzi podejrzanie, a nawet wrogo, ponieważ sądzą, że stanowią zagrożenie dla ich dzieci. Jeśli odległość jest duża, samica nie przypuści ataku, raczej sama się wycofa z młodymi. Lecz jeśli do spotkania dojdzie nagle, oko w oko, zaatakują niemal na pewno.

Wtedy ze strachu można narobić w portki. Są dwa rodzaje zachowań: paraliż i gwałtowna ucieczka. Żaden, jak twierdzą znawcy, nie jest dobry. Niedźwiedzie, podobnie jak niektóre inne zwierzęta, na ucieczkę człowieka reagują pogonią. Rozjuszony „misiak” już nie odpuści, w kilku susach – bo jest cholernie szybki – dopadnie intruza i wyładuje na nim wściekłość. Pazury niedźwiedzia są jak dobrze naostrzona brzytwa, orają ciało ofiary niby pług ziemię. Ugryzienie może zgruchotać ludzką czaszkę, a średniej siły uderzenie wielką łapą przetrząć kręgosłup. Jeśli dorosły niedźwiedź potrafi jednym rąbniciem przez grzbiet załatwić trzystukilogramowego knura, to człowiek jest dla niego igraszka.

Ale najczęściej nie zabija, tylko rani. Dotąd w Bieszczadach odnotowano tylko jeden przypadek śmierci człowieka napadniętego przez niedźwiedzia (kilka lat temu w lesie koło Olszanicy), za to osób z pogruchotanymi kośćmi i rozległymi okaleczeniami było na przestrzeni minionych dwóch dekad kilkanaście. To niewiele w porównaniu z atakami niedźwiedzi na Słowacji czy w Rumunii, gdzie żyje ich wielokrotnie więcej niż w Polsce, lecz wystarczająco dużo, by nie tracić w lesie czujności.

Swego czasu prof. Zbigniew Jakubiec, badacz gatunku *Ursus arctos*, tłumaczył zgromadzonemu na spotkaniu z nim miłośnikom przyrody,

iz niedźwiedź nie jest typem tępego agresora. Okazuje się, że – co wynika z obserwacji życia tego drapieżcy – bardzo często czuje ludzki zapach, słyszy kroki, rozmowy, ale wycofuje się, bo nie chce mieć z nami nic wspólnego. Jest coś w powiedzeniu, że człowiek niedźwiedziowi śmierdzi. Unika go, jak może, lecz zdarza się, że drogi dwunoga i czworonoga przypadkowo się krzyżują.

Dar od losu

Nie oznacza to, że przy takim spotkaniu zawsze dochodzi do ataku. Istnieją udokumentowane relacje osób, które znalazły się w takiej sytuacji i wyszły z niej bez szwanku. Po prostu człowiek poszedł w swoją stronę, a niedźwiedź w swoją. Zwierzę czasami mruknął, sapnął, nawet stanął na tylnych łapach, jak gdyby gotowił się do walki, ale ostatecznie rezygnował. Potwierdza to Kazimierz Nózka, leśnik z czterdziestoletnim stażem, który od lat ma z niedźwiedziami – można rzec – osobiste relacje. Spotykał je wielokrotnie, niekiedy stał w odległości zaledwie paru metrów, lecz nigdy żaden nie zwrócił się przeciwko niemu. Choć – przyznaje pan Kazimierz – bywały chwile, kiedy już żegnał się z życiem, bo ten czy inny brunatny olbrzym wykazywał chęć przetrzepania mu skóry. – Nigdy nie zapamięnałem zimnych, przenikliwych oczu niedźwiedzia przesywającego moje ciało – mówi leśniczy z Polanek. – Całe dotychczasowe życie przepływa wtedy przez głowę jak w przyspieszonym filmie.

Znacznie częściej ma jednak spotkania zupełnie pokojowe, kiedy może – znajdując się w pewnym oddaleniu – obserwować zachowania niedźwiedzi. Z racji zawodu na co dzień jest w lesie, w dodatku takim, gdzie zagęszczenie brunatnych drapieżców duże. Ale to nie znaczy, że ich szuka, by móc sfilmować czy sfotografować. – To byłoby nieodpowiedzialne – twierdzi. Odkąd w sieci dostępne są nagrania z bieszczadzkimi niedźwiedziami w roli głównej, niektórym fotoamatorom wydaje się, że wystarczy tu przyjechać, a niedźwiedzie na zawołanie będą im pozować. Tymczasem to najczęściej kwestia przypadku, daru od losu i lasu.

Wabione zapachami

Minionej zimy niedźwiedzie prawie nie spały, może nawet zanadto nie drzemały. Łaziły w pobliżu gawr, podjadały, na chwilę zalegały, by znowu się podnieść i spenetrować teren. Ich pozostawione na śniegu i błocie ślady leśnicy widywali nader często, zresztą podobnie było rok wcześniej. Nie zbliżali się w rejony zajęte przez niedźwiedzie, żeby te mogły odpocząć

i w spokoju doczekać potomstwa. A potem je wykarmić, by – kiedy nabiorą sił i masy – pokazać im świat. – Właśnie teraz się to dzieje, dlatego apeluję do wszystkich o ostrożność w czasie spacerów po lesie – uczyła Kazimierz Nózka, a w ślad za nim idą pracownicy innych bieszczadzkich nadleśnictw.

Ursus arctos to niezwykle inteligentne zwierzę. Szybko się uczy, choć – zdaniem naukowców – nie rozróżnia, co jest dla niego dobre, a co złe. Na przykład w Tatrach niedźwiedzie od dawna podchodzą do ludzkich osad, wybierają resztki ze śmietników, włamują się do magazynów z żywnością. Ale i człowiek nie jest tu bez winy – sam karmi zwierzęta, zostawiając beztrosko odpadki na szlakach, a nawet przynosząc celowo jedzenie, żeby „misie sobie pojadły”. Takie postępowanie prowadzi do udomawiania dzikich osobników, a w konsekwencji naraża je na kłopoty. W Rumunii w niektórych rejonach niedźwiedzie przestały szukać żeru w swoim naturalnym środowisku. Wabione zapachami przeniosły się do stołówek przy osiedlach i barach. W ten sposób stały się znacznie groźniejsze dla ludzi i rzeczywiście w ostatnich latach coraz częściej dochodzi tam do ataków, kończących się także śmiercią.

W Polsce 90 procent polskiej populacji niedźwiedzia brunatnego żyje w Bieszczadach, Beskidzie Niskim i na Pogórzu Przemyskim. Wciąż są dzikie, ale zdarza się, że jakiś osobnik zapomni, gdzie jego miejsce i wlezie do wioski. Przewróci śmietnik, przejdzie się wokół zabudowań, rozbije przydomową pasiekę. Właśnie pasieki narażone są na dużą penetrację wielkich drapieżników, a najbardziej te położone na śródleśnych polanach. Rokrocznie rozkochane w miodzie „miśki” rozbijają kilkadziesiąt uli, niszcząc dorobek pszczelarzy. Skarb Państwa wypłaca im odszkodowania, ale pieniądze nie rekompensują rzeczywistych strat. Żeby je zminimalizować, gospodarze grodzą pasieki pastuchami elektrycznymi. Niedźwiedź, którego porazi prąd (w dawce bezpiecznej dla jego zdrowia), podobno już do takiego „przeciwnika” się nie zbliży. Inaczej przy zwykłym ogrodzeniu. Głodny zwierzę albo je rozerwie, albo przeskoczy, a bywają specjaliści, którzy podkopują się pod siatkę i wyrwywają słupki.

Na szczęście niedźwiedzie są wszystkożerne, najbardziej zaś lubią owoce. Od lata do jesieni zajądają borówki, jabłka i gruszki ze dziczyńskich sadów, a czasami – gdy są baaaardzo głodne – decydują się na padlinę. Nie gardzą też, jak się okazuje, warzywami. Podczas słabej zimy, kiedy nie mogą zaznać snu, podjadają buraki wykładane dla zubrów. Zdarzyło się, że łowiły – jak ich kuzyni grizzly na Alasce czy w Kanadzie – ryby w górskich potokach.

Rozsądek w cenie

Kochamy niedźwiedzie, podziwiamy je, lecz jednocześnie odczuwamy przed nimi naturalny lęk. Im ich więcej, tym większa obawa przed spotkaniem. W latach siedemdziesiątych XX wieku w Polsce żyło ledwie kilkadziesiąt niedźwiedzi, dzisiaj – ponad dwieście. Są prawnie chronione, nikt nie myśli, żeby do nich strzelać, ale dystans między gatunkiem *Ursus arctos* a *Homo sapiens* z roku na rok się zmniejsza. Przyczyniamy się do tego rosnącą ekspansją na tereny przyleśne, na których do niedawna rosły krzaki, a teraz ludzkie osiedla. Jesteśmy coraz bliżej wszystkich dzikich zwierząt, w tym również niedźwiedzi, które nie mają nic wspólnego z łagodnymi misiami z kreskówek i mogą wyrządzić krzywdę.

Lasy są otwarte dla ludzi, lecz trzeba z nich korzystać z głową. Wzrost populacji brunatnego drapieżnika spowodował, że od kilku lat w niektórych rejonach możemy napotkać tablice ostrzegające przed możliwym spotkaniem z niedźwiedziem. Nie oznaczają formalnego zakazu wstępu (chyba że pojawi się na tablicy wyraźna informacja), jednak warto zachować rozsądek i spróbować znaleźć inne miejsce do spacerów. Takich w Bieszczadach nie brakuje.

- Nie chodzi o straszenie turystów – tłumaczy leśniczy. – Niedźwiedź nie czai się za drzewem, żeby na nas napaść, ale zwłaszcza teraz, wiosną, jest szczególnie wyczulony na obecność obcych.

Trudno się dziwić. Małe niedźwiadki stawiają pierwsze kroki w środowisku, są jeszcze bardzo nieporadne i potrzebują strefy bezpieczeństwa. Żadna matka nie pozwoli, by do tej strefy wszedł ktoś nieproszony.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

BĘDĄC W LESIE

- poruszaj się oznakowanymi szlakami i ścieżkami spacerowymi
- nie zbaczaj z nich i nie wchodź w młodniki
- od czasu do czasu kłaśnij w dłoń, zagwiżdż lub nawet mów sam do siebie
- jeśli zauważysz odchody lub tropy niedźwiedzia, wycofaj się

GDY SPOTKASZ NIEDŹWIEDZIA

- nie wpadaj w panikę
- nie krzycz
- nie wymachuj rękami
- nie biegnij

JAK SIĘ RATOWAĆ

- powoli i cicho wycofaj się
- nie patrz niedźwiedziowi w oczy
- jeśli upadniesz, połóż się twarzą do ziemi
- zakryj głowę rękami i udawaj martwego

W poszukiwaniu zaginionych cmentarzy

W ostatnim wydaniu Gazety Bieszczadzkiej natrafiłem na artykuł o planowanym upamiętnieniu żołnierzy, którzy polegali podczas zimowych walk na przełomie 1914/1915 roku w paśmie Wysokiego Działu. Jestem co prawda mieszkańcem Jasła, ale z racji zainteresowań biorę udział, w miarę swoich możliwości, w realizacji tego projektu.



Kto spoczywa pod tajemniczym krzyżem w sąsiedztwie kościoła w Równi?
Fot. Adam Leń

Ostatnie wydarzenia związane z pandemią na pewno przesuną w czasie plany upamiętnienia ofiar na Maniłowej, nie tracimy jednak nadziei, że kiedyś zostaną rozpoczęte, a co ważniejsze – ukończone. Obecnie pracuję nad historią cmentarzy wojskowych z tego okresu w ówczesnym powiecie Lisko. Istnieje bardzo mało dokumentów w archiwach krajowych, a i te są szczątkowe. Dążąc jednak temat, dzięki uprzejmości Wojciecha Krukara, dowiedziałem się o położeniu kilku cmentarzy w Bieszczadach. Są to wspomnienia dawnych mieszkańców wysiedlonych z własnych domów, a dziś mieszkających w kraju i za granicą.

Co kryje ziemia w Równi?

Obok bezsprzecznie jednej z najpiękniejszych bieszczadzskich cerkwi tkwi pochylony łańcuch krzyż, wykonany z rur kopalnianych. Dawno temu podczas wykonywania pomiarów w okolicznych lasach nocowałem gdzieś przymusowo, jak to wtedy bywało, w stodole na sianie. Rozmawiając z gospodarzami o wszystkim i o niczym, zeszliśmy na krętą i tragiczną historię tej ziemi. Wtedy jeszcze nie dojrzałem do żyłki dokumentalisty, aparat fotograficzny zaś nie miałem. Najstarszy członek rodziny gospodarzy zaprowadził mnie pod cerkiew i opowiedział, że w czasie pierwszej wojny światowej w świątyni był lazaret wojskowy. Czyż? Dziś nie

wiadomo. Tych, co w nim umarli, miano pochować w mogiłach obok cerkwi. Grobów było kilkanaście. Wydarzenia wojenne, międzywojenne, tragiczny czas wysiedleń zatarły mojemu rozmówcy dalszą historię tych grobów.

Po wielu latach znów trafiłem do Równi, już jako przewodnik. Przypomniałem sobie tamto spotkanie. Krzyż stoi, coraz bliżej skłania się ku Matce Ziemi. Nie udało mi się natrafić na dokumentację tego miejsca. Jeżeli jednak ta historia jest prawdziwa, to może udało by się ją odkryć. Na jednym z cmentarzy wojskowych województwa podkarpackiego możemy odczytać takie słowa: *Kim byłeś – nie wiemy. Bo twoje nazwisko dziś nic nie powie nikomu. Gdzie Twój Rodzice? Daleko czy blisko? Czekają na Ciebie tam w domu?*

Groby nad rafinerią

Działania wojenne nie ominęły także Ustrzyk Dolnych. Liczne okopy, transeje na szczytach okolicznych wzgórz to tragiczne ślady. Linia kolejowa, węzeł dróg, rafineria, zabudowa uczyniły z miasta strategiczne miejsce. Obie walczące strony starały się wykorzystać ten potencjał dla własnych celów. Jednym z nich była potrzeba lokowania tu szpitali polowych. Nie dotarłem do rosyjskich dokumentów dotyczących tych placówek. Ale ze strony austro-węgierskiej było lepiej. W oficjalnych listach strat nr

119, 196, 197, 200, 251, 252, 253, 270, 398, 465, 497, 498, 493, 465 publikowanych przez Ministerstwo Wojny Monarchii Austro-węgierskiej odszukałem sto nazwisk żołnierzy tej armii, którzy nie wytrzymali transportu na tyły lub zmarli w szpitalu polowym, mieszczącym się w zabudowaniach rafinerii (Montan Petroleum Rafinerie). Nie podaję tej listy, ale powiem, że byli to szeregowcy i podoficerowie z pułków piechoty o numerach 39, 62, 82, bośniacko-hercegowińskiego pułku piechoty nr 2, kanonierzy z FKR 11, ułani z UR 13, taborcy i woźnice cywilni z Tr .div 2,9 i innych.

Cmentarzy wojskowych powstałych w czasie wojny było kilka. Gdzie istniały można tylko próbować wysondować z meldunków szpitali polowych, działających na terenie miasta. Duże pole grobowe znajdowało się na skarpie terenowej nad budynkami rafinerii. To chyba o tym polu grobowym pisze Helena z Seifertów Jabłońska w Dzienniku z oblężonego Przemyśla 1914-1915.

3 VII. Sobota. – Wreszcie uzyskałam wszelkie zezwolenia. O godz. 5 tej wyjechałam z Przemyśla wlokąc się do 3 w nocy. I przesiadając w Zagórze. Po drodze obraz zniszczeń umajony zielenią i kwieciami przednich łąk. Zniszczenie wszędzie, mosty prowizorycznie ponaprawiane materiałem drzewnym. Stacje na całej przestrzeni zupełnie zniszczone. Wiejskie chaty tu i ówdzie wypalone, dwory najbardziej zniszczone. W Olszanicy Jencińskich pałac kompletnie na ruinę wygląda. Najokropniejszy obraz zniszczenia przedstawiają Ustrzyki. Ocalał kościół i tylko niektóre kamienice mają dachy. Rezerwuary naftowe, wszystkie tartaki, rafinerie i w ogóle fabryki nie istnieją. Wzgórza wokół



Według ustaleń Romana Frodymy jeden z cmentarzy miał się znajdować w miejscu, gdzie od kilkudziesięciu już lat stoi restauracja „Niedźwiadek” Fot. Adam Leń

których zawieszono puszki jakiegoś konserwów. Nie znam ich znaczenia. Na drutach tych miało zginąć i w mękach najokropniejszych drgnąć, nawet po dni kilka wiele ciał ludzkich. Trupów w tych dolinkach leżało na kilka metrów wysoko. Już z daleka widać było chmury ptactwa czarnego. Przy zbliżeniu się pociągu zobaczyliśmy bardzo długi kopiec, po obu stronach równy a kilka nasypanych i schizmatycznych krzyżów. To jedna mogiła kryjąca tysiące ciał, a tak płytko nakryte, że tu i ówdzie wysterczają ręce, nogi, lub czaszki rozdobywane przez kruki i gawrony. Ziemia się osiadła - deszcz splukał. Pojedyncza lub kilka mogił wśród zagonów, wśród łąk. Woń straszna się rozchodzi z powiewem wiatru. Tak dojechałam o 3 rano do Sanoka.

Przy stacji i cerkwi

Inny cmentarz został założony na tyłach budynku stacyjnego dworca

Zaścienca Matki Bożej. Były to groby zmarłych w innych małych lazaretach miasta, a także z Jasienia, gdzie działający tamże lazaret meldował o zmarłych w tej placówce pojedynczo. Groby zajmowały wąski pasek terenu między murem świątyni a alejką.

Obecnie tylko jedno miejsce w mieście można by określić mianem kwatery wojskowej. Jest to grób istniejący na cmentarzu komunalnym powyżej cerkwi, ufundowany przez społeczność ukraińską w latach międzywojennych, prawdopodobnie w roku 1932. Mogiła-pomnik to piramida z kamienia ułożona na planie kwadratu. Na ścietym wierzchołku drewniany krzyż. Całość jest ogrodzona kutą barierką ze stali ustawioną na betonowym krawężniku. Na licu pomnika tabliczka z pięknymi słowami inskrypcji w języku ukraińskim. Dzięki uprzejmości Roberta Bańkowskiego mogę podać jej tekst po polsku:

*Śpijcie chłopcy śpijcie
O lepszym losie, wolności śnijcie
O lepszym losie, wolności Ojczyzny
Czyż mogą być piękniejsze sny?*

Można by przyjąć tezę, że w okresie międzywojennym, podczas porządkowania terenów cmentarnych, szczątki kostne ze zlikwidowanych obiektów przeniesiono tu i pochowano w masowej mogile. Ten fakt mógł zainspirować kogoś do upamiętnienia tego miejsca budową pomnika. Ale to tylko moje zdanie.

Być może ktoś wie więcej o tym, gdzie się podziały wojenne mogiły, skoro w najbliższej okolicy nie ma żadnego zbiorowego cmentarza, i zechce podzielić się swoją wiedzą dla ocalenia ich od zapomnienia. Bieszczady kryją niejedną tajemnicę Wielkiej Wojny, jak ją nazywają historycy. Tę, o której napisałem, możemy razem odkryć. Ci, którzy przeczytają te słowa, niech wezmą do swych serc taki tekst:

*Wierni przysiędze i obowiązki
W bitwie Krew swoją i życie oddali
Bez względu na to czy na dziejów szali
Wrogiem nam czy przyjacielem byli
Jako żołnierze wzorowi Na wieczną
pamięć sobie zasłużyli*

ROMAN FRODYMA



Czy pomnik-nagrobek z okresu międzywojennego jest miejscem pochówku żołnierzy z I wojny światowej?
Fot. Adam Leń

Ustrzyk ciekawy przedstawiają widok. Tam toczyły się najzaciętsze walki. Na szczytach widać rowy strzeleckie. A w nagich stokach wyrte ogromne jamy z wielkokalibrowych pocisków. Przesmyki i dolinki zagrodzone kilkometrowej szerokości drutami kolczastymi, na

kolejowego, tam gdzie dziś stoi bar „Niedźwiadek”. Chowano tu zmarłych w transporcie do szpitali tyłowych. W kartach, które odszukałem, jest wiele takich meldunków.

Trzecia nekropolia to miejsce na terenie cmentarza przycerkiewnego, pod murami cerkwi pod wezwaniem

Szałas Lutka pod Tarnicą

Ludwik Pińczuk to jedna z najbardziej kultowych postaci Bieszczadów. Poniżej publikujemy fragment książki Edwarda Marszałka „LUTEK, co miał szłas na połoninie”, która wkrótce ukaże się nakładem Wydawnictwa RUTHENUS.



Lutek Pińczuk przed laty podczas pracy na przełęczy
Fot. Archiwum Ludwika Pińczuka

To było już w 1972 roku, gdy na Wołosatem miał spore zaplecze znajomych i kąt na swoje rzeczy. Ale musiał jakoś podreperować swój portfel, więc najął się do wypału węgla drzewnego na Wołosatem. W dolinie dymyły wtedy mielerze, więc poszedł do szefa bazy i zaferował usługi. Szybko dogadali warunki pracy.

- Miałem już nową dziewczynę, więc chciałem rozbić namiot w bazie, żeby ona nam gotowała jedzenie. Ale koledzy mnie wysmiali: - „Baba na wypale to przyczyna nieszczęścia” - powiedzieli. Pewnie dlatego, że zazwyczaj nocą, gdy już mielerz był odpalony, to do rana trzeba było dyżurować i zasypywać ziemią pojawiający się ogień. Za wiele sam nie spałem, już nie mówiąc o spaniu z dziewczyną. Namiot w końcu rozbiłiśmy sobie dalej od wypału i tak było przez parę miesięcy. Dziewczyna na uboczu już chłopakom nie przeszkadzała. Pół roku przerzucałem szczapy i siałem węgiel do worków, żeby się finansowano odkuć. Ale był tam bardzo dobry zarobek, a kierownik bazy Bolek Horodecki, stary bieszczadnik, nie dawał nikogo skrzywdzić. Płace były dzielone sprawiedliwie.

Ambitny zamysł

Ale potem miał Lutek epizod zamieszkania pod samą Tarnicą, nieopodal późniejszej dyżurki GOPR przy przełęczy, dziś nazwanej Przełęczą Goprowców. Mało kto, nawet ze starszych ratowników, pamięta już ten domek wciśnięty pod karłowatą buczyną, co go osłaniała od wiatru, śniegu, lodu i szadzi, ale dawała bezpieczną przystań i schronienie.

Ta z wielkim trudem wzniesiona chatka ściany miała z płyt październowych, które wówczas jako nowinkę techniczną wypuściły zakłady

zostało mi tylko pismo w prywatnym archiwum.

- Gdy w 1972 roku wiadomo już było, że powstanie Bieszczadzki Park Narodowy i ustawienie jakiegokolwiek budowli w obrębie połonin będzie od tego momentu niemożliwie, postanowiłem zbudować coś, co stanie się załączkiem górskiego posterunku GOPR w najwyższej partii naszych gór. Podzieliłem się moim pomysłem z Karolem Dziubanem, naczelnikiem Bieszczadzkiej Grupy, a on poparł mój pomysł i dał zielone światło. Przeniósłem się wtedy z kwaterą do Wołosatego, gdzie w leśnym osiedlu mieszkało już kilka rodzin, istniał też park konny na 10 par koni, to i o paszę dla mojego konia było łatwiej. Właściwie to miałem wtedy dwa konie do dyspozycji. Mój Karo padł wcześniej i pochowany był na przełęczy, ale Jurek Dobroczyński, chcąc mi pomóc w biedzie, dał mi dwa konie pociągowe - „Jednego musisz oddać, a drugi jest twój” - powiedział. Za dosłownie flaszkę wódki wynajmowałem kąt u miejscowego leśnika i wziąłem się ostro do roboty.

Ciężka walka

- Wpierw trzeba było znaleźć miejsce. Najbardziej spodobało mu się to w siodle między Tarnicą i Krzemieniem, lekko schowane na południowej stronie i osłonięte od wiatrów firanką krzywulcowych buczyn. Najważniejsze, że tuż obok było niewysychające źródło.

- Najpierw, jeszcze jesienią, wywoziłem przytroczone do końskiego siodła najpotrzebniejsze do życia rzeczy, łącznie z żeliwną kozą, czajnikiem, garnkiem do gotowania, paroma sprzętami niezbędnymi w kuchni, kocami... - opowiada zamyślony „Robinson”. - Na noc schodziłem na Wołosate, by od rana robić po kilka kursów starą drogą wzdłuż górnego biegu Wołosatki. Na łańcuchu za koniem wywłoczyłem płyty piłśniowe, co je od Władzia Słodczycki nabyłem z odzysku czy z jakiejś rozbiórki. Musiałem wykorzystać czas pogody, bo gdyby mi zamokły, to materiał stawał się bezużyteczny. Po kilkudniowej mordędze miałem zgromadzone materiały, narzędzia i mogłem przystąpić do roboty.

Konieczność życiowa kazała wtedy Lutkowi kopać głębokie dołki pod słupy konstrukcyjne w czasie, gdy spadły już pierwsze śniegi. Ciężka była walka z zamarzającą, kamienistą ziemią. Łopata i kilof okazały się słabym sprzętem, ale w końcu wgrzył się na tyle w ciało połoniny, by ustabilizować konstrukcję i zadaszyc ją. Wtedy już bezpiecznie i szybko można było przybić płyty i uszczelnić nieco ściany od spodu. Gdy dosypało śniegu, stanowił on najlepszą izolację termiczną.

- Kiedyś doszło do zabawnej sytuacji, bo z góry wróciłem bardzo późno, w oknach u leśnika nie było już widać światła, więc nie chciałem go budzić i na nocleg wszedłem do stodoły, gdzie było sporo siana. Zaszyłem się w nim, ciepło mi się zrobiło i zasnąłem. Rano usłyszałem mocny i gwałtowny szleest, szybko zrozumiałem, że gospodarz widłami nabiera siano, w którym ja leżałem. Wystraszyłem się, że mnie dźgnie, więc krzyknąłem głośno. Ale leśnik jeszcze bardziej się wystraszył, rzucił widły i zwiął do domu. Głupio mi się zrobiło, bo przecież nie o to mi szło. Wylazłem ze stodoły i jeszcze

z sianem we włosach zapukałem do drzwi. Długo się nie otwierały, mimo że wołałem: to ja, Lutek, otwórz! Przeprosiłem gospodarza za niezamierzony żart i za parę dni już zamieszkałem w swojej chatce pod Tarnicą. No bo gdy już przybiłem wreszcie szajbę GOPR przed wejściem, to wypadło już ten dyżur pełnić.

- Spędziłem tam w sumie parę miesięcy zimowych; od późnej jesieni 1972 do wiosny 1973 roku. Dużo czasu zajmowało mi przygotowanie opału. Najlepsze do tego były cienkie suche buczki, które łatwo było wyciągać do góry. Można nimi było palić niemal zaraz po porąbaniu. Na rozpałkę miałem nabieraną trawę z połoniny, bo była wówczas wyjątkowo wysoka i można ją było drzeć nawet przy sporych śniegach. Trawa z połonin to wspinały materiał do wielu rzeczy, świetnie izoluje od podłoża i może robić jednocześnie za karimatę i materac.

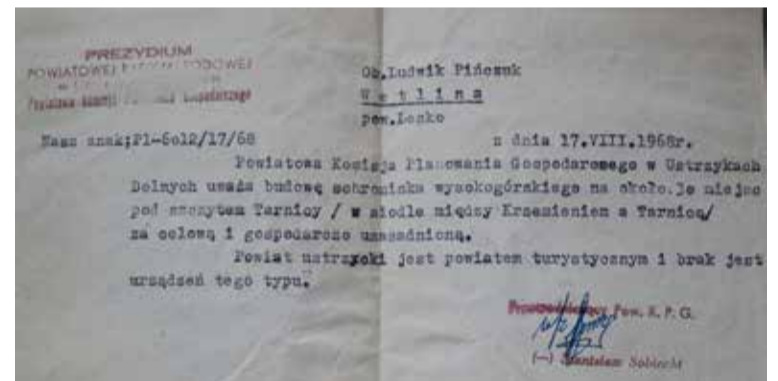
Na odludziu z dziewczyną

- Nie miałem tylko stajni dla konia, więc musiałem go na zimę oddać do Wołosatego, jak się dziś mówi „do pensjonatu”. Jednego Jurek Dobroczyński zabrał już wcześniej. Zresztą, żał mi go było zostawić tu na zimę, więc schodziliśmy już w zadymce śnieżnej. Pomyślałem, że na Wołosate będzie szybciej, gdy pójde przez siodło Tarnicy i Hudów Wierszek. Ale po jakiejś godzinie przebijania się przez zasy, zdałem sobie sprawę, że jestem właśnie w

- Zostałem z tym pomysłem sam; Dziuban się wycofał, koledzy też mieli inny pomysł na posterunek GOPR pod Tarnicą, a do tego dostałem nakaz rozbiórki chatki. Żał mi jej było. Zostało też trochę moich sprzętów, które wykorzystali koledzy z GOPR przy zakładaniu namiotowej dyżurki, która właśnie od lata 1973 roku stała już nie przy samym szlaku, ale zaledwie 30-40 metrów powyżej mojej chatki. Dyrektor Zbigniew Tym przysłał mi pismem ponaglenie do rozbiórki obiektu. Ostatecznie latem 1974 roku poszedłem tam i porozbijałem dwie ściany tak, że dach wciąż mógł dawać schronienie, a pozostałe dwie ściany osłonię od wiatru.

Ostatni akord

- W rozwalonym już domku został jeszcze potężny kufer, w którym Lutek przechowywał skarby niezbędne do życia, bowiem zabezpieczał on przez myszami i popielicami - wspomina Jerzy Żak, ratownik GOPR, który pełnił dyżur pod Tarnicą w 1974 roku. - Byłem wtedy młody, a Dziuban sprawdzał moje możliwości i pchał na najtrudniejsze dyżury. Wtedy Lutek poprosił mnie o pomoc w zniesieniu reszty przydatnych rzeczy. Spakowałem co się dało w ten kufer, przytroczyłem go linką do aluminiowych nosidek, co Leszek Żubryd dostał od kogoś. To był wówczas tak traktowany sprzęt, jak dzisiaj nie przymierzając śmigłowiec. Leszek był bardzo dumny z tych nosidek, uważał, że są niezniszczalne. Gdy dowlokłem się z tym kufrem na dół, to w sklepie w Wołosatem położyłem go



Pismo z Powiatowej Rady Narodowej w Ustrzykach Dolnych
Fot. Archiwum Ludwika Pińczuka

okolicy domku. Waliło po oczach drobinami lodu, można powiedzieć pi...ł. Byłem już zmęczony, koń też. Wprowadziłem go do izby i po odpoczynku, gdy już zamieć zelżała, zesłaliśmy wzdłuż Wołosatki.

- Wróciłem na górę z zapasami żywności i ... z dziewczyną - tu Lutek wesoło się uśmiecha. - Krystyna miała na imię i spędziła ze mną prawie trzy miesiące. Świętowaliśmy tu, chodziliśmy na długie wycieczki aż do Kińczyka. Zimą nie pojawiał się tu nikt, nawet żaden patrol WOP, parę razy tylko widziałem narciarzy wędrujących ku grani Krzemienia. Dwa razy odwiedzili mnie narciarze, którzy zauważyli dym z komina. Jedną czy dwie noce zanocowali, opowiadali potem o mnie innym ludziom.

Raz też, już przed rozbiórką, odwiedziła mnie Dorka, wówczas recepcjonistka w schronisku w Ustrzykach Górnych. Dotrwaliśmy tam do Wielkanocy. To był jeden z najciekawszych okresów mojego życia w Bieszczadach... - Lutek zamyśla się. Pamięta, że wtedy na górę przyszła kontrola z Grupy: Leszek Żubryd, wówczas zastępca naczelnika, i Staszek Purchla, ratownik zawodowy, sporządzili protokół i oddali do dyspozycji naczelnika GOPR. Gdy ten uznał, że obiekt na dyżurkę się nie nadaje, wiosną 1973 roku Lutek opuścił swoją traperską chatkę.

na wagę. Miał dokładnie 50 kilo! Tyle tylko, że nosiłki się zgięły a jedna z ram nawet złamała.

- Ale to był ostatni akord Lutkowej chatki pod Tarnicą. Potem jeszcze w latach 70. i 80. pokazywaliśmy młodemu ratownikom to historyczne miejsce, gdy w czerwcu się wynosiło, a w sierpniu znosiło letnią namiotową dyżurkę. Warto o tym przypomnieć, bo już niewielu żyje ludzi, co pamiętają tamten czas - kończy Żak.

Przez kilka lat zachował się też fotel z pnia bukowego, na którym siedziało się jak na tronie, aż wreszcie zbutwiało po którejś zimie i sam został porąbany na opał.

W każdym razie idea dyżurki w siodle między Tarnicą i Krzemieniem przetrwała wiele lat. Przez wakacyjne miesiące namiot typu kanadyjka, a potem wojskowy NS-74 przyciągał turystów i dawał oparcie w trudnych sytuacjach. Tak było aż do 2010 roku, kiedy to z przyczyn ekonomicznych zawieszono funkcjonowanie tej jedynej w swym rodzaju stacji GOPR.

EDWARD MARSZAŁEK

Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji. W archiwach Lutka Pińczuka nie zachowało się zdjęcie chatki pod Tarnicą. Ale może ktoś ją ma w swoich zbiorach. Jeśli tak, prosimy o kontakt z autorem, wydawnictwem lub redakcją Gazety Bieszczadzkiej.

Niszczyciele Wunderwaffe z Kalnicy

Czy istnieje związek pomiędzy Bieszczadami a hitlerowską bronią o napędzie raketowym, oznaczoną kryptonimem V? Kontekst postawienia tego pytania – cykl biografii nietuzinkowych osób o bieszczadzkich koneksjach – sugeruje, iż tak, ale że połączenie owe jest aż tak poplątane... To trzeba dokładnie opowiedzieć.

Związek ten zadzierzgnął się za sprawą Augustyna Trägera, urodzonego 25 sierpnia 1896 r. w Kalnicy – nie tej koło Wetliny, lecz położonej blisko Baligrodu i w odróżnieniu od tamtej, zapisywanej jako Kalnica Niżna. W przypadku Augustyna miejsce przyjscia na świat określono nieco inaczej – Kalnica Dolna – co jednak niewiele zmienia.

Był on synem pochodzącego z Dolnej Styrii austriackiego mechanika precyzyjnego imieniem Josef i Heleny z domu Nowickiej. W małżeństwie Trägerów zapewne doszło do często spotykanego w mieszanych stadłach galicyjskich procesu: tego mianowicie, że „pierwiastek” żeński wziął górę nad męskim i potomek Austriaka wychowany został nie tylko na Polaka, ale wręcz polskiego patriotę. Co do tego wątpliwości być nie może, jako iż wiadomo, że powołany, po wybuchu Wielkiej Wojny, do armii austro-węgierskiej Augustyn (jak ojciec: mechanik z zawodu, wykształcony w Stanisławowie) szybko postarał się o przeniesienie do Legionów Polskich i wraz z nimi szczęśliwie przeszedł wszystkie kampanie bojowe. Ponoć już wtedy przeszedł przeszkolenie wywiadowcze i stawiał pierwsze kroki w tej nielatwej oraz niewdzięcznej służbie.

Żołnierz bez munduru

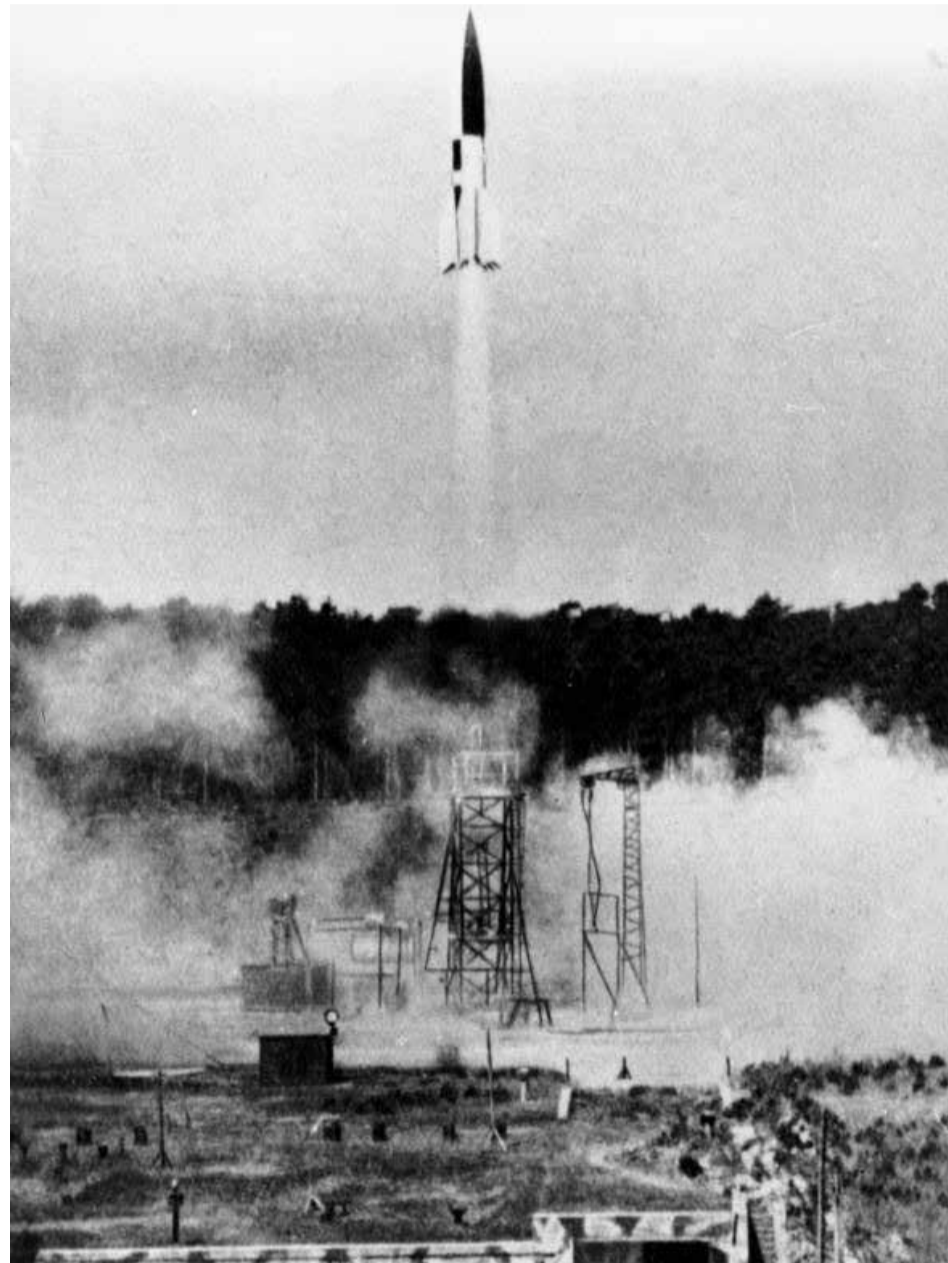
Życie w wojskowym reżimie zasmakowało mu snadź, bo po zakończeniu batalii, w których brał udział, nie postarał się o demobilizację, lecz pozostał w nim jako żołnierz zawodowy. Nie dane mu jednak było paradować w uniformie (być może udekorowanym odznaczeniami; czy tak jednak było – wiadomości brak, podobnie, jak wciąż nie wiadomo, czy był podoficerem, oficerem czy może cywilnym agentem...), gdyż szybko zszedł do konspiracji, jako zakwalifikowany do pracy operacyjnej w Oddziale II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, czyli instytucji, zajmującej się wywiadem, kontrwywiadem, dywersją pozafrontową, kryptologią, gromadzeniem danych i studiami na temat obcych armii - ale także sprawami zagranicznymi WP. Głęboko utajniony Augustyn Träger już w 1919 r. skierowany został do Bytomia, położonego podówczas w granicach Niemiec, aby podjąć formalnie zatrudnienie (tu źródła nie są zgodne: jedne podają, że pracował w Konsulacie Generalnym RP, inne – że był handlowcem, m.in. działającym na rzecz naftowej firmy Standard Nobel) w branży gospodarczej, faktycznie zaś wypełniać misje, zlecone przez przełożonych.

Mieszkał wtedy przy dzisiejszej ul. Gliwickiej, tam też urodził się w 1923 r. jego syn Roman. Z obowiązków wywiązywał się do 1928 r. - dopóki nie został zdekonspirowany; wywiad wycofał go wtedy z Górnego Śląska i po sześciu latach pobytu w Warszawie skierował w 1934 do Bydgoszczy, gdzie z kolei „przykrywką” dla jego działalności stał się handel, a ściślej: praca w firmach eksportowych. Wraz z rodziną (żona była dentystką) zajmował mieszkanie przy obecnym Wehnianym Rynku. O tym etapie jego biografii wiadomo, że podlegał służbowo ulokowanej w Bydgoszczy Ekspozyturze nr 3 II Oddziału. Społecznie działał w Polskim Związku Zachodnim, był prezesem Chrześcijańskiego Związku Kupców Polskich, należał do Stronnictwa Narodowego.

Po wybuchu wojny doświadczony wywiadowca wstąpił, jako jeden z pierwszych konspiratorów (w październiku lub listopadzie 1939), do Ruchu „Miecz i Pług”, organizacji powstałej w środowiskach chrześcijańsko-narodowych, a

zajmującej się wywiadowczą infiltracją Niemiec, ich sojusznika Związku Radzieckiego oraz aktywnych na ziemiach II Rzeczypospolitej grup prokomunistycznych. Wraz z nim członkiem „Miecza i Pługa” został syn, Roman Träger.

W organizacji odgrywał poważną rolę, m.in. w 1942 otrzymał polecenie zorganizowania na Pomorzu regularnych struktur konspiracji cywilnej i wojskowej, a w ślad za tym - nominację na starostę okręgu pomorskiego oraz delegata Zarządu Głównego i Komendy Głównej „Miecza i Pługa” na Wielkie Pomorze i Prusy Wschodnie. W 1943 brał udział w rozmowach na temat scalenia „Miecza i Pługa” z Tajną Organizacją Wojskową „Gryf Pomorski”.



Odpalenie rakiety V2 w ośrodku badawczym w Peenemünde. Zdjęcie wykonano 4 sekundy po starcie rakiety, w dniu 21 czerwca 1943 roku
Źródło: Bundesarchiv, Bild 141-1880 / CC-BY-SA 3.0

Dwuznaczna konspiracja

Służba Augustyna Trägera w „Mieczu i Pługu” nie była wolna od niejasności. Przyjęcie organizacyjną np. składał przed przewodniczącym Rady Naczelnej Zjednoczonych Organizacji Ruchu „Miecz i Pług” Anatolem Słowikowskim – który rok później, w 1943 r., został zdemaskowany przez kontrwywiad Armii Krajowej jako agent Gestapo. Nie był on zresztą jedynym członkiem kierownictwa MiP oskarżanym o współpracę z hitlerowcami - i z tego też powodu cała organizacja podlegała izolacji w Państwie Podziemnym, a nawet przez wiele lat traktowano ją jako kolaborancką.

Wokół Trägera również narosło niemało dwuznaczności. Wykwalifikowany wywiadowca szybko zadbał o zapewnienie sobie maksymalnie dużej swobody działania i aby uzyskać taki status, wystąpił - powołując się na austriackie pochodzenie ojca - o obywatelstwo niemieckie (i otrzymał przydział do II grupy narodowościowej, Deutschstämmige). Inna sprawa, że odbiło

się to rykoszetem na jego synu, powołanym - jako Niemiec - do służby w Wehrmachcie. Wątpliwości wokół Trägerów było tak wiele, iż pomorski okręgowy delegat Rządu RP na Kraj Antoni Antczak w jednym z memoriałów adresowanych do przełożonych stwierdził wręcz, że: „Na terenie Pomorza szeroko działał »Miecz i Pług«. Wg informacji wywiadu, wojewódzkim szefem jest Niemiec z Bydgoszczy, który prawdopodobnie jest agentem”.

„Wojewódzkim szefem” był bez wątpienia Augustyn Träger. Ale - co stanowczo i jednoznacznie ustalił współautor pracy „Polska Podziemna na Pomorzu” Bogdan Chrzanowski: „(...) ani Traeger, ani jego rodzina nie byli agen-

Dane te Träger senior przekazał Armii Krajowej, a jej specjaliści, doceniwszy ich wagę, przekazali je śpiesznie do Wielkiej Brytanii.

W ślad za tym, w czerwcu 1943, wewnątrz AK powołano grupę wywiadowczą „Bałtyk”. Nawiązała ona ścisły kontakt z Romanem Trägerem i podjęła współpracę ze stworzoną przez jego ojca siatką wywiadowczą „Miecza i Pługa”. Konsekwencją było wstąpienie obydwu Trägerów do Armii Krajowej. Intensywna praca wywiadowcza doprowadziła w konsekwencji do przygotowania skutecznego zbombardowania przez RAF ośrodka Peenemünde, co znacząco spowolniło niemieckie prace nad bronią V (a i - tak nawiasem - spowodowało przeniesienie doświadczeń w okolice Dębicy).

Dostarczający bezcennych wiadomości Roman Träger przed nalotem RAF złamał sobie przedramię - dzięki temu w czasie zniszczenia ośrodka przebywał w szpitalu na wyspie Wolin. W późniejszym okresie odbywał służbę w głębi Niemiec. Pod koniec wojny organizował sabotaż w zakładach przemysłu zbrojeniowego w Flörsburgu, aż wreszcie znalazł się w oddziałach partyzanckich w Danii. Repatriowany w 1948, odsłużywszy jeszcze swoje w wojskach łączności, pracował w firmach z branży łącznościowej i teletechnicznej. Zmarł - nierozpoznany jako autentyczny bohater II wojny światowej! - w 1987 r.

Bez podzięk, bez nagrody

Jego ojciec do końca wojny działał w AK, w ofensywnym wywiadzie dalekiego zasięgu „Lombard” Komendy Głównej. Kiedy wypełnił misję, powrócił do Bydgoszczy i oddał się do dyspozycji kierownictwa tamtejszego Pomorskiego Okręgu AK. Prawdopodobnie z uwagi na przynależność do „Miecza i Pługa” oraz brak świadomości roli, jaką odegrał w akcji zniszczenia ośrodka na wyspie Uznam, jego oferty nie przyjęto i nie przydzielono mu żadnego zadania. Wkrótce za to Gestapo przeprowadziło akcję rozbicia komórek „Miecza i Pługa”. Zagrożony aresztowaniem Augustyn Träger schronił się poza Bydgoszczą (przebywał na Morawach, w Austrii oraz Poznaniu). Kiedy wrócił tam i próbował jakoś się urządzić, front przesunął się na zachód, a w mieście grasowały radzieckie wojska NKWD; przyznać im trzeba, że błyskawicznie zdobywały orientację, kto jaką rolę odgrywał w konspiracji. Rosjanie z NKWD aresztowali na początku 1945 r. Trägera. Na jego szczęście nie zdobyli szczegółowej wiedzy o wieloletniej przynależności więźnia do wywiadu (zarzucili mu „jedynie” współpracę z Gestapo) i przekazali go partnerom z UB. Po trwającym ponad rok odosobnieniu Augustyn Träger wyszedł na wolność latem 1946 r.

W 1947 odzyskał obywatelstwo polskie (wedle dokumentów był wszak Niemcem...) i przyjął nazwisko Sęk- Träger: Sęk był jednym z jego konspiracyjnych pseudonimów. Już na stałe pozostał w Bydgoszczy, pracował w fabryce budowy maszyn, a następnie piastował posadę kierownika sklepu motoryzacyjnego. Do końca nie ujawnił swej przeszłości. Zmarł w kwietniu 1957. Zasługi ojca i syna, położone dla - nie bójmy się wielkich słów!!! - milionów bliźnich, których uratowało sterpowanie harmonogramu budowy broni rakietowej przez III Rzeszę, przez wiele, wiele lat były znane co najwyżej obeznanym z zawartością archiwów tajnych służb.

Dopiero w 2003 r. w Bydgoszczy pojawiła się pamiątkowa tablica ze znamienym napisem: „W tym domu mieszkali bohaterscy bydgoszczanie Augustyn ps. Sęk i Roman ps. T2-As Trägerowie. W decydujący sposób przyczynili się do zbombardowania w 1943 r. Peenemünde i opóźnienia niemieckich badań nad pociskami rakietowymi V-1 i V-2. Dzięki nim II wojna światowa trwała krócej. Cześć ich pamięci!”.

...a wszystko zaczęło się w Kalnicy... Tej koło Baligrodu, nie pod Wetliną.

WALDEMAR BALDA

Wiosna. Słonko coraz bardziej przygrzewa, więc wraca dyżurny temat żmij. Z nieznanymi powodami według powszechnie panującej opinii to właśnie na Podkarpaciu, a szczególnie w Bieszczadach, jest tych stworzeń najwięcej. Strach wyjść z domu, bo żmije „gonią” i „polują” na mieszkańców i turystów. Tymczasem...

Żmija zygzakowata niesłusznie dorobiła się czarnego PR. W naszym kraju jest jedynym przedstawicielem gadów, który może niebezpiecznie ukąsić zwierzę lub człowieka. Na tle światowych statystyk w Polsce jest jednak pod tym względem bezpiecznie. Według organizacji Lekarzy Bez Granic, na świecie co roku pięć milionów ludzi zostaje ukąszonych przez węże. 100 tys. z poszkodowanych umiera, a około 400 tys. odnosi trwałe uszczerbek na zdrowiu (np. w wyniku amputacji pokąszonych kończyn). W latach 1951-1980 w szpitalach w całej Polsce stwierdzono 1036 przypadków ukąszeń, jeden (w dodatku niejednoznaczny) zakończył się śmiercią. W 2017 roku przyjęto do szpitali 128 osób po ukąszeniu żmii. Żadna z placówek nie zarejestrowała zgonu po ukąszeniu. Tak więc panika nie jest w żadnym stopniu uzasadniona.

Dużo czy mało?

Dlaczego w powszechnej świadomości Bieszczady są kłębowskiem żmij? Dlaczego ten region jest szczególnie postrzegany jako miejsce, gdzie można najczęściej spotkać tego gada? Odpowiedź należy szukać w przeszłości i to nie tak odległej.

Wysiedlenie Bieszczadów i Beskidu Niskiego z rdzennej ludności po II wojnie światowej spowodowało, że wsie

Złote myśli Gawelka

W jednym ze swoich bieszczadzkich opowiadań Jerzy Janicki zamieścił historię turysty ugryzionego na połoninie przez żmiję. Wozak, Mieczysław Gawęłek z parku konnego nr 2, wiezie poszkodowanego turystę do lekarza i tak sobie gadają:

- A gdzie pana ugryzła?
- W palec
- To widzę, że nie w dupę. Pytam w którym miejscu?
- Na połoninie
- No. Jakby nad potokiem, to mógłby to być padalec. A tak... No ale pan zrobił dwie głupoty. Po pierwsze primo rozbił pan namiot na połoninie. Słoneczko grzeje, zwierzątko lubi sobie łeb pogrzać na południowym stoku. Drugie primo, żeś ją pan zabił. Pan Bóg dobrze wiedział dlaczego i po co ją zrobił. Jak byśmy tu wytrzymali bez żmii? Kto w polu myszy rąbie, a szczury, a krety? Mówię panu – u nas w Bieszczadach żmije bardziej potrzebne niż turyści.

(...)

Jad żmii trzeba na wagę człowieka brać. Pan mi tak na 75 kg wygląda. O której pana dziabnęła?

- O ósmiej
- Mamy dziewiątą. A to do południa księżda panu nie potrzeba.

Resztę życiowych mądrości Gawelka można przeczytać w opowiadaniu „Wolna sobota” w zbiorze „Nieludzki doktor” lub obejrzeć w zekranizowanej wersji z genialną rolą Wojciecha Siemiona.

opustoszały, a nieuprawiane pastwiska i łąki zostały przejęte we władanie przez naturę. Popadające w ruinę domy, zwłaszcza kamienne podmurówki i piwniczki, stały się doskonałym miejscem bytowania gadów, które znalazły tu sprzyjające środowisko do rozmnażania i życia. W latach 50. w Bieszczadach i Beskidzie Niskim faktycznie spotykano żmije częściej niż w innych regionach kraju. Z całej Polski zjeżdżały grupy

większe niż w Poznaniu, co nie za bardzo jednak przekonało rozmówczynię, zwłaszcza że na pytanie rzeczonyj matki: „Czy może mi pan zagwarantować, iż mojego syna żmija nie ugryzie”, trudno było udzielić twierdzącej odpowiedzi.

Co robić, aby nie ugryzła?

Na pewno trzeba znać biologię i zwyczaje żmij. Jako zwierzę ciepłolubne preferuje nasłonecznione stanowiska.

nie najlepszy okres na spacer po lesie. Zwierzęta są wtedy bardziej pobudzone i agresywne.

Baczna obserwacja otoczenia, w którym się znajdujemy, pozwoli na pewno zminimalizować zagrożenie na wejście na „wojenną ścieżkę” ze żmiją. Kiedy już ją spotkamy, należy zachować jak największy spokój i w miarę możliwości powoli wycofać się. Żmija na pewno nie będzie z nami pełzła. Ale nie można



Fot. Cezary Ćwikowski

Vipera berus nie taka straszna

łowców, chwytających żmije, których jad służył do produkcji surowicy. Często byli to studenci, dorabiający do mamych stypendiów. Barwnie o tych żmijowych polowaniach opowiadał turystom Zdzisław Pękalski z Hoczwi.

Bieszczady w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat bardzo się zmieniły i prawdę mówiąc niczym już nie różnią się od reszty kraju. Także w kwestii występowania żmij. Obecnie z równym prawdopodobieństwem możemy spotkać je w Zatwamicy, Ustrzykach Górnych, jak i Koszalinie czy na skwerze w Lublinie. Nie wszystkich to jednak przekonuje. Kilka lat temu do muzeum przyrodniczego BdPN w Ustrzykach Dolnych zadzwoniła z Poznania zaskoczona matka chłopca, który miał wyjechać na obóz harcerski w Bieszczady. „Czy faktycznie u was jest tyle żmij, jak to się mówi u nas w Wielkopolsce?” – zapytała. Pracownik muzeum próbował rzeczowo i cierpliwie wytłumaczyć kobiecie, że nie ma racjonalnych przesłanek, aby mieć obawy

Zmienność, charakteryzująca gady, wymusza na nich potrzebę poszukiwania zewnętrznego źródła ciepła, potrzebnego do życia. Stąd też najłatwiej spotkać je można na nasłonecznionych stokach, nagrzanych kamieniach lub pod nimi, a nawet na alejce czy też chodniku, który absorbuje ciepło i jest dla żmii ulubionym miejscem. Naturalnym środowiskiem dla niej są również wilgotne polany leśne, porośnięte mchem torfowym, borówką bagienną i bagnem. Preferuje gęste zarośla, gdzie może się ukryć. Jest zwierzęciem płochliwym i jak prawie wszystkie dziko żyjące zwierzęta unika ludzi. Atakuje jedynie w stanie zagrożenia i to nie od razu. Z reguły wcześniej wydaje ostrzegawcze syknięcia.

Najlepszym sposobem na uchronienie się przed spotkaniem z tym wężem jest unikanie takich właśnie miejsc, zwłaszcza w okresie silnego operowania słońca. Przełom kwietnia i maja, kiedy przypada okres żmijowych godów, to też

wykluczyć, że jednak może dojść do sytuacji, w której żmija nas „dziabnie”, na przykład wtedy, gdy przypadkowo na nią nadejmiemy. A wtedy...

Co robić, gdy ukąsiła?

Na pewno nie należy brać wzoru od pewnego mieszkańca Wołosatego. Kilka lat temu pod muzeum przyrodnicze BdPN w Ustrzykach Dolnych podjechał samochód. Było upalne, lipcowe popołudnie. Z auta wysiadł, a w zasadzie wytoczył się, mężczyzna ze słojem w dłoni. Pierwszego napotkanego pracownika muzeum zapytał: - Co to jest? - i pokazał w słoju martwą gadzinę. Rzut oka muzealnika i odpowiedź: - Żmija. - Zygzakowata? - dopytywał. - No, zygzakowata - odpowiedział indagowany. - A dlaczego pan pyta? - A, bo dzisiaj rano mnie to bydlę uchląło.

Trzeba było zobaczyć duże oczy przyrodnika...

Mężczyzna miał wyjątkowe szczęście. Złamał wszystkie zasady. Jadąc drogą

do Wołosatego, specjalnie rozjechał pełznącą przez jezdnię żmiję. Chcać się upewnić, z jakim skutkiem, zatrzymał pojazd. Kiedy podnosił gadzinę, ta ostatnim tchnieniem jeszcze go ugryzła. Na szczęście było to tak zwane ugryzienie suche. Ukąsiła, ale już nie zdołała wypuścić jadu. Delikwentowi nie zaszkodziło nawet wypicie sporej ilości alkoholu. Gdyby żmija wstrzyknęła mu choćby małą dawkę jadu, mogło być z nim znacznie gorzej.

Pierwszą czynnością jaką należy wykonać u człowieka ukąszonego przez żmiję, to spróbować go uspokoić. Ugryzienie powoduje silne emocje, przyspieszone tętno, które prowadzi do szybszego krążenia krwi, a co za tym idzie – do szybszego rozprzestrzeniania się jadu. Wysysanie, wypalanie, wycinanie w miejscu ukąszenia (dwa niewielkie ślady po zębach żmii), to praktyki niedopuszczalne. Obecnie nie zaleca się również zakładania opaski uciskowej, ponieważ może to doprowadzić do martwicy tkanek.

Najlepiej, aby „pacjent” jak najszybciej znalazł się pod opieką służby medycznej. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu każdemu kogo ugryzła żmija aplikowano surowicę. Dzisiaj odchodzi się od tej praktyki. Organizm zdrowego, dorosłego człowieka broni się sam przed toksynami. W większości przypadków kończy się na bólu oraz gorączce, a przebieg jest łagodny. W cięższych przypadkach, zwłaszcza u dzieci, niska waga ciała może być powodem podania surowicy. To samo dotyczy osób cierpiących na uczulenia na różnego rodzaju jady, chociażby pszczoły czy osy.

Bać się czy nie?

Nie wszystko, co pełza, musi od razu niebezpiecznie gryźć. W Polsce, oprócz żmii zygzakowatej, nie ma innego jadowitego gada. Nieco mniejszy gniewosz plamisty, często mylony ze żmiją, jest niegroźny. Podobnie zaskroniec o charakterystycznych żółtych plamkach w tylnej części głowy. Dusiciel jest, bardzo rzadki i występujący w Bieszczadach, wąż Eskulapa. Ale dusi małe gryzonie, nie ludzi. Każdy z wymienionych gatunków ma pewne charakterystyczne cechy morfologiczne, po których można go z łatwością rozpoznać.

Poza tym, idąc do lasu, na łąkę czy w inne naturalne środowisko musimy pamiętać, że to my jesteśmy tam gośćmiem, a zwierzęta gospodarzem. Parafrazując znane powiedzenie, powinniśmy się zachowywać tak, aby gospodarz czuł się jak u siebie w domu.

ADAM LEŃ

ŻMIJA ZYGGAKOWATA - Długość ciała: 90 cm (rzadko do 120 cm). Grzbiet o zabarwieniu brązowym, srebrzystoszarym, żółtawym, oliwkowozielonym, niebieskoszarym, pomarańczowym, czerwono-brązowym, miedzianoczerwonym lub czarnym. Na grzbiecie ciemniejszy od barwy podstawowej zygzak, tzw. „wstęga kainowa”. Żygzak nie zawsze jest widoczny. Pionowa żrenica. Płaska głowa o trójkątnym zarysie, wyraźnie oddzielona od reszty ciała. Ciało zwęża się w kierunku głowy. Głównym pokarmem żmij są małe ssaki owadożerne (ryjówki, krety) oraz gryzonie. Poluje także na żaby, jaszczurki, pisklęta ptaków oraz owady.

Żmije rzadko kąsają człowieka, starając się raczej uciec. Jeśli zostaną zmuszone do obrony, ich ukąszenie często (30-60% przypadków) jest suche (tj. bez wstrzyknięcia jadu), jednak ze względu na możliwość martwicy, należy zawsze zasięgnąć pomocy medycznej przy potwierdzonym ukąszeniu. Jad żmii jest mieszaniną kilku toksyn o różnorodnym działaniu: uszkadzającym układ nerwowy, powodującym martwicę tkanek, zmniejszającym krzepliwość krwi, zmiany rytmu pracy serca.

GNIEWOSZ PLAMISTY – gatunek niejadowitego węża. Nieszkodliwy dla ludzi, często mylony

ze żmiją zygzakowatą. W Polsce pod ochroną. Wpisany do Polskiej Czerwonej Księgi Zwierząt z kategorią zagrożenia VU – gatunek narażony na wyginięcie. Są to węże o drobnej budowie, których długość ciała dorosłych osobników waha się od 60 do 75 cm, samica osiąga nawet 90 cm. Ogon stanowi od około 12 do 25 procent długości ciała. Zwęża się równomiernie i jest mniej lub bardziej zaokrąglony. Barwa ciała rdzawobrazowa lub brązowa, a u samic szara lub gliniastoszara. Na głowie oraz częściowo na karku widnieje plama w kształcie serca lub podkowy w kolorze ciemnobrązowym, po bokach od nozdrzy przebiega ciemnobrązowy pasek, który przechodzi następnie w przedłużający się przedni odcinek ciała. Na grzbiecie wzdłuż środkowej linii występują 2 lub 4 rzędy plam. Od żmii odróżnia go okrągła żrenica oka, łagodnie zaokrąglony pysk oraz głowa słabo odgraniczona od reszty ciała.

ZASKRONIEC - gatunek niejadowitego węża. Samica jest większa od samca i osiąga średnio długość do 1,5 m, a samiec do 1 m. Żywią się płazami, rybami albo małymi gryzoniami, które polują bez uprzedniego uśmiercania. Atakują tylko poruszające

się zwierzęta. Zaskroniec zawdzięcza swą polską nazwę charakterystycznym żółtawym plamom „za skroniami”. Plamy te są bardzo wyraźne – pozwalają łatwo rozpoznać ten niegroźny dla człowieka gatunek, otaczają je czarne obwódki. Zaskroniec zwyczajny lubi przebywać na obszarach podmokłych, bagnistych, niedaleko jezior. Bardzo dobrze pływa i nurkuje.

WĄŻ ESKULAPA - Największy wąż żyjący w Polsce i Europie Środkowej. Długość jego ciała może przekraczać 2 m, najdłuższy odnotowany osobnik mierzył 225 cm. Największy osobnik złowiony w polskich Bieszczadach mierzył 161 cm. Samce są zwykle dłuższe od samic (rzadkość u węży). Dorosłe osobniki są oliwkowobrazowe. Głowa oraz ciało, z wyjątkiem brzucha, brunatne lub oliwkowobrunatne z wieloma małymi, jasnymi plamkami. Przednia część ciała zwykle jest jaśniejsza, a strona brzuszna słomkowa, czasem z ciemnymi plamkami. W Polsce występuje jedynie w Bieszczadach. Jego populacja oceniana jest na ok. 100 osobników.

Wszystkie wymienione gady są w Polsce pod ochroną.

Współcześnie nie cieszą się takim wzięciem, jak dawniej, ale wciąż mają gorących zwolenników. Jednych „leczą” z chandry, drugim dostarczają wyłącznie doznań smakowych, dla innych – jak w pewnym serialu – ich spożywanie to rytuał.

Co tak niezwykle jest w zatykanych plastikowymi korkami (a dawniej kapslami) winach, że kolejne pokolenia, głównie mężczyzn, chwala sobie te mało wykwinne produkty? Bo przecież nie wprawiający w zachwyt zapach, nie delikatny smak, nie szczególny kolor...

- Przede wszystkim są to wina na każdą kieszeń – wyjaśnia ich anonimowy koneser – ale też przyciągają, zwłaszcza młodych, intrygującymi etykietami na butelkach. Bo nie każdy kupuje „siarkę”, żeby się uwalić. Niemało jest ludzi kolekcjonujących puste flaszki bądź tylko same naklejki. Znam takich, którzy trzymają je w specjalnych albumach, niczym fotografie.

Alpaga dla każdego

Kiedyś spożywanie tych wszystkich „czarów pegeerów” kojarzono powszechnie właśnie z pracownikami Państwowych Gospodarstw Rolnych, drwalami, robotnikami z wypożyczalni, włóczęgami nie mającymi na chleb, ale zawsze znajdującymi kilka złotych na wino marki wino. Był to paskudny stereotyp; równie chętnie owe trunki wlewali w gardła junacy z Ochotniczych Hufców Pracy, cierpiący na nieustanny brak gotówki studenci, robotnicy z fabryk i chłopci. Nawet niektórzy harcerze ze słynnej operacji „Bieszczady '40” nie gardzili po kryjomu „wiśniami” i „truskawkami”, co osobiście potwierdzają już jako ojcowie i dziadkowie.

Swego czasu w Parku Pod Dębami w Ustrzykach Dolnych miała miejsce taka scena: na oko dwudziestoparoletni kawaler siedział na ławce z dziewczyną w podobnym wieku, obściskował ją i całował, a w pewnym momencie sięgnął do parciańskiej torby i wyciągnął z niej flaszke wina. Zrazu próbował odbić korek uderzeniem w dno butelki, lecz gdy jedna i druga próba się nie powiodła, sięgnął do kieszeni spodni po scyzoryk i sprawnym ruchem pozbył się przeszkody. Przystawił do ust wąską szyjkę, pociągnął solidny łyk, a następnie podał trunek dziewczynie. Ta się przez moment z uśmiechem opierała, lecz po namowach odchyliła głowę i wzorem kawalera upiła nieco jasnego, słomkowego płynu. Potem już sobie przekazywali flaszke z ręki do ręki i w ten sposób szybko przyswoili jej zawartość. No a potem się zaczęło, ale to już było w trawie, pod rachityczną brzoźką. Jakis czas później owa para wzięła ślub, nie jest jednak pewne, czy łącznikiem stało się tamto (a może też inne) wino.

Popularne „Łzy Sołtysa” (podobne to „Sen Sołtysa”) pito na potęgę i to nie tylko z uwagi na niską cenę. – W pewnym okresie każdy młody wchodzący w dorosłość przechodził jabolowy chrzest – opowiada dawny smakosz. – Od tego czy nie gardzisz bełtem zależała nierzadko przynależność do grupy, możliwość spędzenia wolnego czasu wśród otrząskanych już w środowisku chłopaków. Ale to nie było, przynajmniej w mojej paczce, chłanianie na umór. Jednak trochę baliśmy się reakcji rodziców, bo nie wszyscy mieliśmy po osiemnaście lat...

Otwarcie i po kryjomu

Jabol, zwany też jabcokiem, jako trunek dostępny dla mas, zagościł w hipisowskich komunach, później zaś, u schyłku lat siedemdziesiątych, stał się nieodłącznym elementem punkowej subkultury. Spopularyzowanie bełta wśród polskich punków przypisuje się młodzieży ustrzyckiej powiązanej z zespołem KSU, choć nie ma pewności, czy więcej w tym prawdy, czy legendy.

– Spożywalimy ów trunek nader często, przy okazji i bez okazji – śmieje się Marek, dzisiaj przedsiębiorca. – Owocowe wino latem najlepiej smakowało w plenerze. W każdym mieście i miasteczku istniały miejsca, w których gromadzono się, żeby „coś” wypić, i tak samo było w Ustrzykach. Niektórzy lubili schodzić nad Strwiąż i konsumować w trawie; inni preferowali parkowe ławki w rynku, najchętniej te zasłonięte przez wielkie i brzydkie tablice propagandowe, sławiące ówczesny ustrój i samą PZPR. Ale trzeba było uważać. Milicja w tamtym czasie patrolowała ulice pieszo, a jednym z najczęściej sprawdzanych miejsc był centralny skwer.

Siarkolepy dobre jak mózgotrzepy



Słynny jabol z piosenki grupy KSU to nie tylko wino, ale symbol

Fot. Andrzej Górski

Na jesień i zimę młodzi przynosili się do knajp albo dyskotek. Te ostatnie organizowano w słynnym „Górniku” przy ulicy Naftowej w Ustrzykach, a nieco dalej, w jednym z domów, można było przez całą dobę kupić wszelkie procenty. Zrzucaliśmy się do „kapelusza” na bełta lub dwa i wypijaliśmy na tyłach „Górnika”. Dla odwagi do tańca i żeby lepiej szedł nam podryw. Czasami jeździliśmy też na zabawy do pobliskich wsi. Tam dopiero były balangi, oczywiście przy siarkowym winie.

– Wszystko było pięknie do poranka – śmieje się Arek, uczestnik tamtych imprez. – Bo bładym świtem budził się człowiek z gigantycznym kacem i biegł do wodopoju w kranie. Przyjęte w nadmiernej ilościach mózgotrzepy poniewierały niektórych tak mocno, że przysięgali, iż nigdy więcej... A po paru dniach wracali do starych przyzwyczajeń, w myśl powiedzenia: kobiety, wino, śpiew.

Wpisane w kulturę i pejzaż

Najprostsze, najpodlejsze siarkolepy stały się inspiracją dla artystów. O alpadze śpiewał w „Autobiografii” Perfekt, zespół Kombi („Gdzie tak biegniecie bracia”), Big Cyc („Guma”), a także KSU w utworach „Jabol punk” i „Jabolowe ofiary”. Po winny motyw z najniższej półki, powiązany ściśle z codziennym życiem na głębokiej prowincji, sięgnęli też twórcy filmowi. Ewa Borzęcka nakręciła dokument „Arizona”, a Juliusz Machulski fabułę „Pieniądze to nie wszystko”. Ten sam autor wykorzystał charakterystyczną flaszke z długą szyjką w kultowej „Seksmisji”, kiedy to główny bohater Maksymilian (w tej roli Jerzy Stuhr), w scenie próby wydostania się z podziemi, w 2044 r. znajduje brudną butelkę i wypowiada znaczącą kwestię: Hej!, nasi tu byli!”

La patik, sikacz, alpażur, pryta... Ile regionów, tyle żargonowych określeń – czasem dziwnych, często śmiesznych, lecz zawsze świadczących o wielkich możliwościach „pracy w słowie” koneserów i sympatyków tychże napitków. Przemysł monopolowy oferował szeroką gamę wymyślnych, oficjalnych nazw: „Fantazja”, „Merkury”, „Perła”, „Kwiat jabłoni”, „Szalony koń”, „Odłot”, „Komandos”, a także „Skurczy-byk”, „Tur” czy też z włoską brzmiaące „Menello” (z dopiskiem na etykiecie: Bianco). Nie zapomniano również o chwalebnej historii Polski (wino „Kniaziowskie” czy „Rycerskie”),

a także o pięknych regionach kraju (wino „Bieszczady”). To ostatnie, z niedźwiedziem na naklejce, nazywane jest też „kulawym misiem”, gdyż zwierzakowi widać tylko trzy łapy...

– Dla mnie wina owocowe bez wątpienia wpisały się na stałe w polski pejzaż, nie tylko ten wiejsko-małomiasteczkowy – nie ukrywa Marek. – Może dzisiaj już nie są tak popularne, jak za PRL-u, ale nadal mają niemało wielbicieli. Znam ludzi, którzy trzymają w domu nieotwarte jabolę jako pamiątkę z młodości. Dzisiaj niektórych win już się nie produkuje, więc tym większa ich sentymalna wartość.



Wino Bieszczady, zwane też „kulawym misiem”

Fot. Andrzej Górski

Pochwały i przygany

Z forów internetowych poświęconych niektórym owocowym napitkom. „Aż się lezka w oku kręci...” (Misi); „Po dwóch lampkach zasypiam jak niemowlak” (Hellboy); „Poezja smaku połączona z widokiem na połoniny i nic więcej do szczęścia nie trzeba...” (Leluchów); „Jest magiczne” (kotu); „Bukiet całkiem przyjemny, bardzo aromatyczne” (Harry); „Siarczan jest okrutny, ale lupie mega potężnie...” (ślimak). Dla równowagi – są też wpisy negatywne, na przykład zwracające uwagę producentom, by zrezygnowali z plastikowych korków (bo można połamać zęby przy otwieraniu) i zastąpili je wygodnymi nakrętkami.

W zależności od nazwy wina, ich wielbiciele punktują je w skali od jeden do dziesięciu. Generalnie przeważa pogląd, iż jabolę peelerowskie miały co prawda większą zawartość siarki, „służącą do przedłużenia żywotności wina w butelce”, za to „szybciej zwały z nóg, a o to czasami chodzi”. – Jeśli ekipa chłopaków jechała latem w góry, to było więcej niż pewne, że jeden plecak będzie wyładowany „siarą” – opowiada Bogdan, zawodowy kierowca. – Bywało, że na kilku mieliśmy jedną konserwę i pół chleba, za to koniecznie musiała być flaszka na głowę.

Kiedy w latach osiemdziesiątych rockowe kapele jeździły po Polsce z koncertami, jabolę towarzyszyły zarówno im, jak też liczny fanom. – Nie było nas stać na droższe trunki, a picie przed koncertem należało niejako do obowiązku – wspomina muzyk nieistniejącej już formacji. – Mało kto występował wtedy na scenie zupełnie trzeźwy i mało kto trzeźwy szalał pod sceną. Byli wśród nas smakosze piwa, jednak najczęściej młodzieży spożywało tanie bełty. Kiedy punkowcy wchodzili do sklepu, ekspedientki zwykle wiedziały, co mają postawić na ladzie.

Po latach coś zostało z tamtych dni. Kiedy rokrocznie do Ustrzyk przybywają tłumy na sierpniowy koncert KSU, w co drugim plecaku, dzwiganym przez fanów, spoczywa tanie wino. Nie można go pić publicznie, ale młodzi przecież zawsze znajdują zaulek, żeby zdopingować się przed czekającym ich muzycznym świętem.

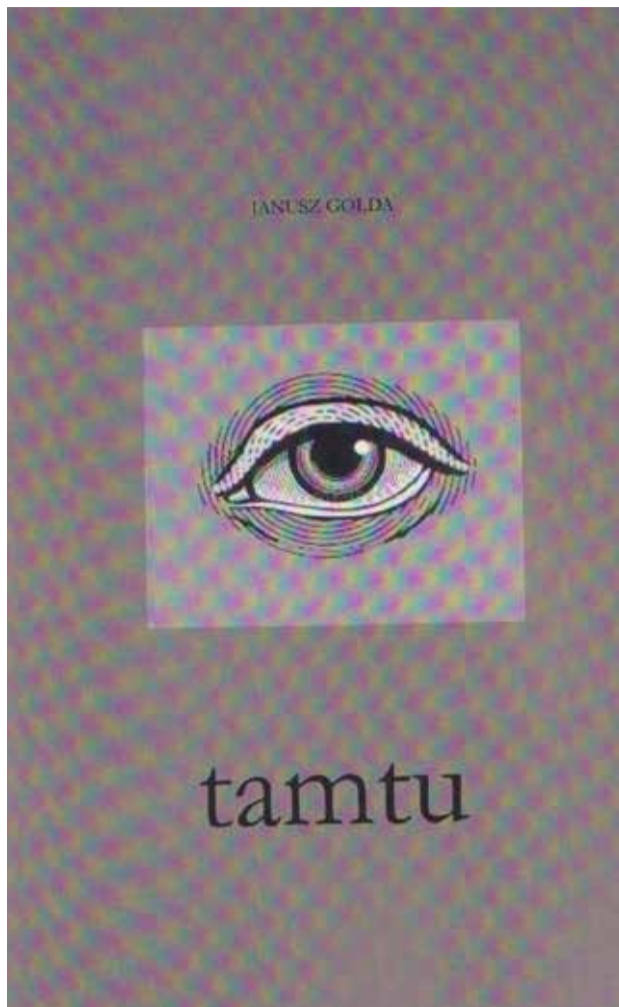
Dyskusje po świt

Nie wszyscy chcą się przyznać, lecz niewielu było takich, którzy kiedyś nie spróbowali pocziwego wina marki wino. Dla uciechy, dla zabawy, dla podtrzymania tradycji. Może paliło czasem wnętrzności, a co słabszych powalało znieca (jak mawiał w serialu „Zmiennicy” taksjarsz Jacek Żytkiewicz), lecz w pamięci obecnych czterdziesto-, pięćdziesięciolatków i starszych pozostaje ono sympatycznym wspomnieniem czasów młodości – na górskich szlakach, wiejskich potańcówkach, rockowskich albo prywatkach, gdzie „alpagi łyk i dyskusje po świt...”

MARCIN GÓRALSKI

JABOL - tanie wino owocowe produkowane zazwyczaj z jabłek (jak nazwa wskazuje), ale też z truskawek, wiśni, czereśni. Jednym z głównych składników używanych do przyspieszenia fermentacji i zabicia pleśni nadgniętych owoców jest dwutlenek siarki (SO₂). W najtańszych winach zawartość tego związku dochodziła kiedyś nawet do 250 mg/litr. Zawartość alkoholu oscylowała w granicach od 12-14 procent. Współczesne wina owocowe także mają w sobie „siarkę”, ale już w mniejszych ilościach.

Pozorne abdykacje



Janusz Gołda proponuje nam swój kolejny tomik poetycki **tamtu**, wydany w tym roku w Lesku. Jest w nim coś ze swoistej, ale jednak pozornej abdykacji. Jest w nim rodzaj zgody na eschatologiczne przeznaczenie; czasem jest nim owo opuszczenie przez ludzi i Boga. Czasem brak jasnego znaku przeznaczenia, a jednak ulaskawianego przez stoicki determinizm. Bo jak powiada liryczny bohater w tytułowym wierszu:

Berehy Górne z widokiem na most i skrzyżowanie dróg do Dwernika Wetliny Ustrzyk Górnych cmentarz Buchwaków za plecami i księżyc schodzący z Malej Rawki w dolinę w której na niego nikt nie czeka

A może jednak czeka? Bo czułe oko i ucho poety wychwytuje te niepozorne znaki, gesty, wariacje chwili/... *ciurkoty szelest tupot/ dziecięcych nóg szuranie butów/na piasku czyjeś głosy dalekie/ jak brzęczenie skrzydeł owada/ dęby jesiony lipy i wścibskie/ osy z których żadna nie żądli/*. Właściwie nic się nie dzieje, a przecież dzieje się cały świat. Dzieje się przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. I delikatnie żądli – bo nawet tego nie czujemy, że przekraczamy z poetą granicę w świecie, w którego niemożliwości wszystko jest i staje się możliwe.

Jest to poezja zakotwiczo-

na w Bieszczadach, pograniczach, ostojach, uroczyskach, przełęczach, połoninach – co absolutnie nie oznacza, że nie jest autorowi po drodze z poezją klasyczną, że nie czerpie z literatury antycznej i mitologii, one też wypełniają czasoprzestrzeń */Tam/ i/ tu/*, np. gdy pisze o Niobe; */ którą dosięgła mściwa Leto/*, po czym dodaje; */a zresztą to było tam/ zaś tu pamięta się to/ co dla pamięci wygodne/*.

Świat się nie kręci wokół naszych problemów; ale to często problemy świata bywają przyczyną naszych problemów, stają się tym samym uniwersalne. Dlatego poezja Janusza Gołdy jest zapisem problemów uniwersalnych. Bo jak powiada Josif Brodski „człowiek wolny różni się od człowieka zniewolonego tym, że w wypadkach katastrofy, niepowodzenia, klęski – nigdy nie obwinia okoliczności, kogoś innego, układu – on obwinia samego siebie. Człowiek zniewolony zawsze uważa, że ktoś jest temu winien co się stało”.

Tak też podmiot liryczny patrzy w wierszu *Tutaj*, nie oszukuje siebie wzniosłością idei humanistycznych, patrzy brutalnie na życie, zdzierając świętobliwą maskę;

a ja zadufany w sobie (zawsze ja i ja) ostrzący pazury na życie i zapatrzonej w grób szukający nieustannie rozrywek i uciech lecz gloryfikujący ciągle śmierć ile jeszcze wytrwam w naiwnej pewności którą karmię siebie albo kogoś kogo chcę przekonać

jakbym bez tego nie mógł istnieć

że nie jestem tutaj po to by przejść od do w jednym celu - prokreacji

Każdy z nas jest jakoś samotny, i każdy tej odrobiny samotności w swoim czasie potrzebuje. Jednak są samotności inne, samotności - nie tylko - peryferyjnych miasteczek, i takich też uliczek w tych miastach. A oto ich przeciwstawienie w dwóch osobnych wierszach autora *Dzikich sadów*. Pisze on w wierszu *Ulice: /ciemne ulice wcale nie są puste/ chodzi nimi samotność w objęciach/ czulej ciemności i galopują/ po nich samopas tabuny uczuć/*. I dodaje: */nikt nie wie dlaczego takie ulice/ są w każdym mieście i czemu one/ mają służyć(../*

W innym wierszu *Miasteczko* pisze: */w naszym miasteczku mieszka samotność/ pogodna jedyna jawna wśród wielu/ skrytych szczęśliwa że jest kim jest/ twarz przyjazna spojrzenie radosne/ ręce gotowe uściskać każdego/ dba o koty karmi psy rozmawia/ o sprawach zwyczajnych pogodzie/ polityce kłopotach sąsiadów/ i ani słowa o samotności/*.

Właśnie to jest dychotomia obrazów zawartych w tomiku, ale i w samym tytule, bo zderza się w nim nieustannie jakieś *tam* z jakimś *tu*...

Piszę o pozornych abdykacjach w zaprezentowanych wierszach leskiego autora. Pozornych dlatego, że podmiot liryczny z niczego nie abdykuje – nawet wtedy godzi się z uciążliwą koniecznością.

Janusz Gołda za pomocą autoironii próbuje rozmawiać ze śmiercią, droczy się: */jeśli uprze się jak osioł/ poproszę o małą zwłokę/ kilka dni dwa tygodnie/ najwyżej miesiąc/ bo muszę pójść tam/ i ówdzie zobaczyć to/ i owo nadziwić się/ dziwnością rozmówić/ z tym i tamnym zalać/ sprawy niezalawione/*.

No właśnie, czy zdążyliśmy się wystarczająco nadziwić, żeby móc powiedzieć: jestem oto spełniony, syty, mogę odejść bo wszystkie sprawy z tym światem mam pozalawiane?

Czy ktokolwiek jest na to w stanie odpowiedzieć z pełną doręcznością? Nawet często samobójca krzyczy swą śmiercią o sprawach niezalawionych z tym światem.

Lubię spotykać się z bohaterami lirycznych wierszy Janusza Gołdy. Są mi bliscy, no i jakoś dziwnie znajomi. Dlatego warto sięgnąć po ten tomik zawierający 48 wierszy rozpisanych na 72 stronach. Gwarantuję, że nie będzie to czas stracony.

Janusz Gołda, *tamtu*, Sowa, Lesko 2020

JAN BELCIK

Rozmowa z Bartoszem Literą, malarzem i grafikem



Bartosz Litera i jego obrazy

Fot. Remigiusz Ogonowski

Mam swoje miejsce na ziemi

– Przed laty zdarzyło mi się przyglądać Pana pracy podczas pleneru malarskiego, gdy był Pan jeszcze uczniem Liceum Plastycznego w Lesku. Zauważyłem, że koledzy i koleżanki do-
pytywali, jak skomponować malowany obiekt, jakie zastosować barwy...

– Miło mi to słyszeć. Byłem pozytywnie zaskoczony, jak dużo leski „Plastyk” może wnieść do warsztatu malarza. Malarstwem zajmuję się od dziecka, ale swoistą klamrą tej edukacji był pobyt we wspomnianej szkole.

– Na pewno edukacja odgrywa niebagatelną rolę, ale czy w swojej twórczości czerpie Pan in-
spirację od innych, bardziej uznanych, zapisanych na chlubnych kartach polskiego malarstwa?

– Przede wszystkim inspiruje mnie twórczość Juliusza i Wojciecha Kossaków. Ich prace dotyczące koni są wręcz wzorcowe.

– Mieszka Pan w Bieszczadach, zatem jakby z natury rzeczy i one powinny być zachętą do
malowania.

– Zdecydowanie tak. Są chyba jedynym rejonem Polski, gdzie światło komponuje niepowtarzalne
widoki. Każda pora roku jest dla mnie ważna i ciekawa, mimo że niekiedy światło jest tak odmienne,
iż czasem ujmuje trochę uroku obiektowi. Jednak dla mnie jest najbardziej frapujące.

– Niekiedy mam okazję oglądać Pana obrazy w mediach społecznościowych lub na plenero-
wych imprezach kulturalnych. Wzbudzają zainteresowanie?

– Powiem nieskromnie, że nie narzekam. Sprzedałem sporo obrazów w samych Bieszczadach, ale
też w innych rejonach kraju i poza Polską.

– Ma Pan swoją ulubioną tematykę malarską ?

– Nie zamykam się na żadną. Równie chętnie tworzę portrety koni i ludzi, jak też pejzaże. Zresztą
tkwienie w wąskim kręgu odniesień i jedynie pędzla splota twórcę, dlatego ważna jest dla mnie
grafika czy rysunek.

– Podobno w swej pracy wykorzystuje Pan fotografie.

– Zdecydowanie tak. Często fotografuję motyw w takim oświetleniu, które jest tylko o określonej
porze i oczywiście staram się go wiernie przenieść na płótno.

– Młodzi ludzie dzisiaj zwykle opuszczają Bieszczady i szukają szczęścia w dużych aglome-
racjach, w znanych i kultowych miastach. W Panu też kwitnie myśl, żeby porzucić rodzinne
góry na rzecz Krakowa czy Londynu ?

– Chętnie zaprezentuję swoją sztukę wszędzie tam, gdzie to możliwe, ale emocjonalnie związany
jestem z Leskiem, z Bieszczadami i tu chcę pozostać. To moje miejsce na ziemi.

– Dziękuję za rozmowę.

REMIGIUSZ OGOŃSKI

„Kochał Biesy i Kresy”

W internetowym, „świętecznym wydaniu „Gazety Bieszczadzkiej” ukazał się artykuł wspomnieniowy „Kochał Biesy i Kresy” o śp. Jerzym Janickim w związku z przypadającą na 15 kwietnia br. trzynastą rocznicą jego śmierci. Autor artykułu – Adam Leń - jakże ciepło i refleksyjnie przybliżył w nim nietuzinkową postać, która na trwałe wpisała się w kulturowy krajobraz Bieszczadów (patrz Kapliczka Pamięci w Cisnej, poświęcona nie tylko tzw. Zakapiorom, ale też zasłużonym dla Bieszczadów), a sama charakterystyczna sylwetka Pana Jerzego - w poczet mieszkańców gminy Lutowiska. Niemniej myślę, że koniecznym jest uzupełnienie wspomnienia o dwie informacje: o tym, że śp. Jerzy Janicki był Honorowym Obywatelom Gminy

Lutowiska (2001 r.) i o tym, że jest patronem Gminnego Ośrodka Kultury w tejże gminie, a siedzibę Ośrodka zdobi odlane w brązie popiersie patrona. Warto też wspomnieć, że w bezpośrednim sąsiedztwie budynku szkoły w Lutowiskach znajduje się skalny odlam upamiętniający Jerzego Janickiego z Jego podobizną i krótkim opisem, kim był. Tuż obok – ławeczka.

Od siebie dodam, że przypadł mi w udziale zaszczyt pożegnania Pana Jerzego w imieniu Gminy Lutowiska i całych Bieszczadów krótkim wystąpieniem w czasie uroczystości pogrzebowych w Warszawie na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach (23.04.2007), gdzie spoczywa w Alei tzw. Profesorskiej.

Jerzy „Baryła” Nowakowski

Syrop z pokrzywy



Wiem, że większość z Was nie ma nawet skrawka ogrodu, ale na szczęście można już chodzić do lasu. Mam więc dla Was propozycję bardzo zdrowego syropu z pokrzyw, który można używać cały rok. Do jego przygotowania zbieramy szczyty tzw. łebki pokrzywy.

Produkty: 2 l pokrzywy, 2 cytryny lub kwasek cytrynowy, cukier, 1,200 ml wody, spirytus.

Przygotowanie: Pokrzywę myjemy i zaparzamy z resztą składników. Następnie odstawiamy na minimum 12 godz. Następnie zlewamy wywar, dodajemy cukier i gotujemy. Pamiętajcie - na 1 l wywaru dajemy 1 kg cukru. Wywar z cukrem doprowadzamy do wrzenia i wyłączamy. Nie gotujemy zbyt długo, ponieważ utracimy wszystkie najważniejsze zawarte w pokrzywie składniki witamin. Jeżeli syrop wyjdzie

nam rzadszy, to nic się nie dzieje - zużyjemy jedynie kilka słoiczek więcej. Zbieramy pianę i dajemy mu „odpocząć”. Następnie dodajemy spirytus - mniej więcej na każdy litr syropu 1 łyżkę spirytusu i mieszamy drewnianą łyżką. Przy tej temperaturze syropu alkohol szybko się ulatnia. Gorący syrop wlewamy do wyparzonych słoiczek. Zakręcamy i odwracamy słoiki pokrywką do dołu. Jak wystygnie, sprawdzamy czy pokrywki wklęsły. Gotowe syropy, wykonane w ten sposób, możemy przetrzymać bardzo długo.

Napary, soki lub syrop przygotowany na bazie pokrzywy, zbawienie wpływają na wygląd naszych włosów, skóry oraz wspomagają leczenie anemii. Pokrzywa jest też skarbnicą składników mineralnych, witamin oraz substancji bioaktywnych. Spożywając świeżą pokrzywę, jak i jej przetwory, dostarczymy naszemu organizmowi dużą dawkę żelaza, krzemu, manganu, cynku, wapnia oraz potasu. Najwartościowsza jest ta pierwszego wiosennego wzrostu, ale nie przeszkadza zbieranie jej przez cały rok. Zbieramy, gdy jest sucha, bez porannej rosy. Najlepiej zrywać czubek i dwa listki poniżej rozety.

B.Ch-M

Anioły z Galerii przy Cerkwi

AUTOR: Jolanta Kordyaczny - artystkę można znaleźć w autorskiej „Galerii przy Cerkwi” w Rabem w gminie Czarna, którą prowadzi wraz z mężem, w Bieszczadzkim Domu Kultury, gdzie jest instruktorem plastyki, lub w Galerii Sztuki Synagoga w Lesku, gdzie pełni funkcję kuratora wystaw. Jej pasją jest malarstwo. Spod jej pędzla wychodzą nie tylko słynne Bieszczadzkie Anioły, ale też piękne, nastrojowe pejzaże i konie. Swoje obrazy maluje przeważnie na deskach, które mają niepowtarzalny klimat. Każdy z jej Aniołów jest unikatowy, często łączy też elementy obrazów. Jej prace są naturalne i wyjątkowo



fot. FB/ Galeria przy Cerkwi

barwne, przeplatane polnymi kwiatami oraz nawiązujące do bieszczadzkiej historii.

paba

Forsycja na ból i zapalenie

Wiosna zawitała na dobre. Jednym z pierwszych jej symptomów są kwitnące jeszcze przed rozwojem liści forsycje. Krzewy te kojarzą się nam głównie z walorami ozdobnymi, a mało kto wie, że mają też właściwości lecznicze.

Forsycja należy do rodziny oliwkowatych, pochodzi z rejonów wschodniej Azji oraz południowej Europy. Jest to krzew osiągający 3 m wysokości. Kwitnie na żółto w kwietniu i maju. W Polsce sadzone są trzy gatunki: forsycja zielona o wzniesionych pędach, liściach pojedynczych, eliptycznych całobrzegich lub nierówno karbowanych; forsycja zwisła o pędach przewisających, liściach jajowatych w zarysie częściowo pojedynczych, częściowo trójdzielnich; forsycja pośrednia - mieszaniec dwóch wcześniej wymienionych gatunków. Wszystkie one mogą być wykorzystywane w ziołolecznictwie.

Krzew ten może rosnąć na glebach przeciętnych, ale preferuje bardziej zasobne. Lubi stanowiska słoneczne, ciepłe, jest odporny na mrozy, jednak młode rośliny mogą przemarzać; niestety jest wrażliwa na suszę. Aby pięknie i obficie zakwitła, należy co 2-3 lata ciąć krzew po kwitnieniu.

W lecznictwie wschodnioazjatyckim pozyskiwany i stosowany jest głównie owoc forsycji, który zawiera lignany, triterpeny, glikoestry fe-

nylopropanoidowe i flawonoidy (głównie rutyne). Owoc działa przeciwzapalnie, przeciwalergicznie, zapobiega też nadmiernej agregacji płytek krwi. Wyciągi z owoców uspokajają i lekko obniżają ciśnienie krwi.

Wiosną można pozyskiwać kwiaty forsycji. Dlaczego są wartościowe? Cytując dr. Henryka Różańskiego: kwiaty zawierają flawonoidy-rutyne, a także kwercetynę, antocyjany, saponiny trójterpenowe, fenolokwasy, lignany i alkohole fenolowe. Wodno-alkoholowe wyciągi z kwiatów forsycji obniżają poziom glukozy we krwi, wzmagają diurezę, działają uspokajająco, rozkurczowo, przeciwzapalnie i przeciwalergicznie. Stabilizują strukturę włókien kolagenowych i elastynowych oraz komórek tucznych. Zastosowane w kosmetykach opóźniają procesy starzenia. Zespół flawonoidowo-lignanowy hamuje uwalnianie histaminy, przez co zmniejsza przepuszczalność śródbłonnków i hamuje odczyny uczuleniowe. Przez hamowanie cyklooksygenazy prostaglandynowej i lipooksygenazy powstrzymują reakcje bólowe i zapalne.

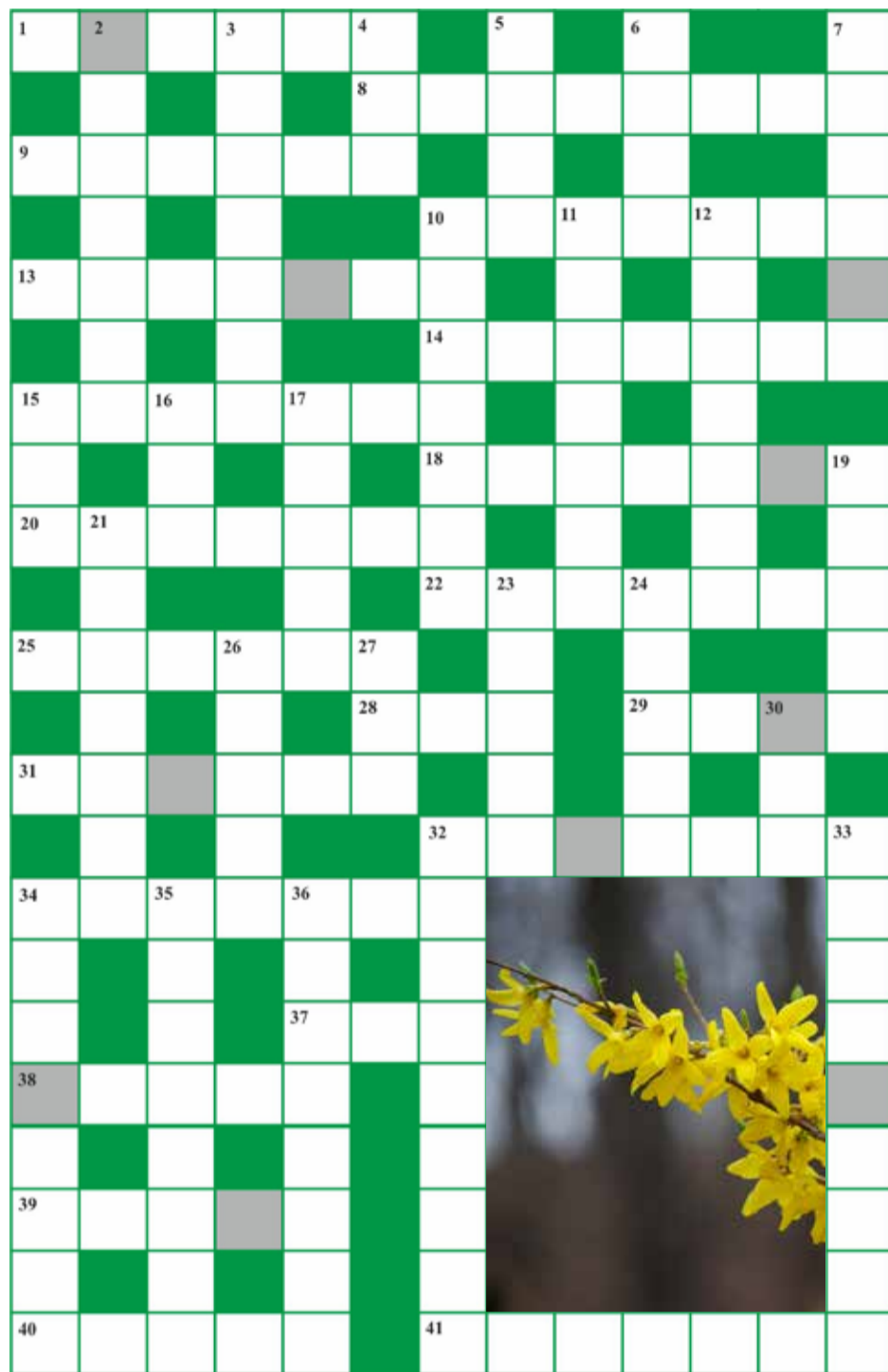
O tym, jak można zastosować kwiaty forsycji w kuchni i kosmetyce - w następnym artykule.

Dominika Pyra

Źródło: Encyklopedia zielarstwa i ziołolecznictwa, Strzelecka H., Kowalski J. Wydawnictwo PWN, W-wa 2000, s. 146-148 oraz www.porady-nazdrowie.manpol.pl

KRZYŻÓWKA

KUPON 698



POZIOMO:

1) miejscowość w gminie Czarna, kiedyś duży ośrodek wydobywania ropy naftowej; 8) pośrodku między pesymistą a optymistą; 9) nadmierne wygięcie kręgosłupa ku tyłowi; 10) tyle, ile mieści się w dłoni; 13) sługa z komedii dell'arte; 14) wyborny, przewyborny, fantastyczny; 15) roślina z rodziny storczykowatych; 18) potocznie składka; 20) bezprawne ukaranie przestępcy; 22) nie zamknięty; 25) bieg na 100 metrów; 28) najmłodszy, szósty wiek wczesnej kredy; 29) imię Kalmana, kompozytora operetki „Hrabina Marica”; 31) miejscowość w gminie Czarna; 32) tkanina na namioty i plandeki; 34) indyjska bogini szczęścia i piękności; 37) niemiecka stacja TV; 38) pomagały Biesowi w czynieniu zła; 39) lokalny piłkarski rywal Romy; 40) imię pąjeczycy z „Pszczołki Mai”; 41) najwyższy szczyt gór okalających Ustrzyki Dolne.

PIONOWO:

2) łupiny ziemniaków; 3) wykupił karnet; 4) gadatliwa papuga lub dawny polski radioodbiornik turystyczny; 5) bywa w talii lub na salonach; 6) bieszczadzki diabeł; 7) przysmaki małpy; 10) bocianie na stodole lub statku; 11) stolica Podkarpacia; 12) amerykański satelita telekomunikacyjny; 15) w Bieszczadach bywa przeważnie bukowy; 16) ryba z wąsami, występująca w Zalewie Solińskim; 17) producent drukarek; 19) w mit. greckiej, córka króla Cypru Salaminosa; 21) szklana z farmaceutyką; 23) wozy wojskowe z zaopatrzeniem lub obóz cygański; 24) jak nie potrafisz, to nie pchaj się na...; 26) rodzaj wkrętaka o przekroju sześciokąta foremnego; 27) wyraz stanowiący potwierdzenie; 30) płynie przez Kolonię i Bonn; 32) miłośnik, znawca, kolekcjoner książek; 33) od tej miejscowości pochodzi nazwa jednej z zatok Zalewu Solińskiego; 34) jeden z rycerzy króla Artura; 35) dynia szparagowa; 36) kłopot, zmartwienie.

Z liter znajdujących się w szarych okienkach należy ułożyć hasło będące rozwiązaniem krzyżówki. Rozwiązania prosimy przesyłać mailem na: bieszczadzka@wp.pl do dnia 30 kwietnia 2020 r.

Fundatorem nagrody za rozwiązanie krzyżówki nr 698 jest „Gazeta Bieszczadzka”.

Wyniki losowania nagrody za krzyżówkę nr 698 zostaną opublikowane w „GB” nr 8/2020. W wyniku losowania nagrodę za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 697 otrzymuje **Pan Paweł Sęk**.

Hasło krzyżówki nr 697 brzmiało: „Dwerniczek”.

Zginiemy czy się odnajdziemy?

Nie wiem czy warto przypominać, że Ustrzyki, Lesko słowem całe Bieszczady żyją z turystyki. Odliczając różnego rodzaju subwencje, dotacje do urzędów, oświaty i służby zdrowia, straży, policji wszystkie pozostałe pieniądze, czyli takie bieszczadzkie PKB, pochodzą właśnie z turystyki, produkcji drzewnej, handlu i gastronomii. Choć prawdę mówiąc i handel, i gastronomia to też w pięćdziesięciu procentach pieniądze od turystów.

Handel jakoś dycha, zakłady drzewne pracują, za to dopływ tlenu, czyli klientów odcięto na długo gastronomii i hotelarom. Rodzi się pytanie: dlaczego? Restauracje, bary to przedsiębiorstwa najczęściej kontrolowane przez różnego rodzaju inspekcje. Muszą zachowywać duży reżim, jeśli chodzi o czystość, jakość podawanych potraw. Tymczasem do sklepu może wchodzić po kilka osób, a przy kasach tworzą się nawet kolejki; niemal nikt w praktyce nie przestrzega niezbyt mądrego nakazu zachowania dwumetrowych odstępów.

Towaru każdy może dotknąć, grzebać w nim i przebierać do woli, szczególnie w przypadku owoców. No i nic się nie dzieje. W czym sklep jest lepszy od restauracji? Tutaj klient nie wkłada palców do potraw dopóki nie dostanie ich na talerzu. Nikt nie podaje potraw kilkakrotnie na tym samym niemytym naczyniu. Wszystko po zjedzeniu „idzie” na sterylnie oddzielony od sali jadalnej zmywak, tam jest wkładane do zmywarki i wyparzone, a później chowane w zamkniętym odkażonym pomieszczeniu lub szafie. Obsługa musi mieć bezwzględnie odpowiednie badania sanitarno-epidemiologiczne, rzecz jasna wymagana jest odzież ochronna i rękawice. Nikt z klientów nie ma prawa wejść do zmywalni, magazynów i kuchni.

Naukowcy twierdzą, że koronawirus ginie dopiero w temperaturze od 60 do 80 stopni.



Moim zdaniem

Proszę mi powiedzieć, czy da się ugotować ziemniaki, dajmy na to w temperaturze 50 stopni. Mięsa pieczone, gotowane do temperatura pomiędzy 120 a 200 stopni. Koronawirus nie ma więc najmniejszych szans.

Podobnie ma się sprawa ulokowania klientów w lokalach. Konkretnie w lokalu, który prowadzę jestem w stanie posadzić ludzi w odległościach dziesięciu metrów jeden od drugiego. Osoby starsze, bardziej narażone na zakażenie, mogą zasiąść w zupełnie zamkniętym pomieszczeniu. Rodzi się zatem pytanie, dlaczego w sklepach może w tej chwili przebywać kilkanaście osób, a w restauracji o powierzchni blisko 300 metrów kwadratowych, ani jedna? Czemu w kościołach może ich być kilkadziesiąt i to – z całym szacunkiem – w wieku, w którym są najbardziej zagrożeni, a w hotelowych pojedynczych pokojach nie może być nikogo?

Nie jestem wyznawcą spiskowej teorii dziejów, ale takie działania i zakazy wydawane przez rząd budzą różne domysły. Może z pewną dozą czarnego humoru dodam, że w restauracjach nie ma klientów prowadzących swoiste odkażanie doustne, co jeszcze bardziej przemawia za ich otwarciem. Jakaś refleksja się niby pojawia, bo mówi się o niedalekim zezwoleniu na działalność hoteli. To kolejny absurd, bowiem ktoś, kto z hotelu korzysta, chciałby zarazem coś zjeść. Natomiast przy zamkniętej restauracji gość hotelowy będzie musiał stanąć w maseczce w kolejce do sklepu spożywczego i faszerować się suchym prowiantem, ewentualnie na przemyczonej kuchence smażyć

jajecznicę lub grzać wodę na tzw. „gorący kubek”.

Wielu mieszkańców Ustrzyk doszło ostatnio do wniosku, że knajpa, hotelik to maszynka do robienia pieniędzy. Namnożyło się tych punktów co niemiara. W samym rynku i w okolicy pięćdziesiąt metrów w pewnym momencie było ich dwanaście. Dwie restauracje już padły. Padną następne, bo klientów niestety nie przybywa w tempie równym tworzeniu nowych knajpek. Boję się, że ta epidemia i obostrzenia z nią związane jeszcze bardziej przetrzebią te szeregi. Na dodatek nic nie zapowiada tego, że restauracje zostaną uwolnione z zakazu. Jakiś urzędniczy ministerstwo ubzdurało sobie, że to my, restauratorzy, byliśmy największym źródłem rozprzestrzeniania się zarazy. Skąd się to wzięło? Ano z Chin. Tam podobno zerowy zakażony, czyli pierwszy nosiciel wirusa, wtoczył go do siebie zjadając zarażoną krewetkę. Choć prawdę mówiąc jest też teoria, iż był to nietoperz. Jak więc widać nawet w tej sprawie nie ma zgodności, także wśród specjalistów.

Jeśli nic nie można zrobić, to przynajmniej trzeba się starać utrzymać dobry humor, bo nic innego nam nie zostało. Optyzmem napawa mnie również ponowna lektura „Dżumy” Alberta Camusa. Książka jak na dzisiejsze czasy ciężka do przebrnięcia, jednak warta wysiłku. Jej konkluzja jest taka: po pewnym czasie strachu, ścisłego przestrzegania zakazów i nakazów w ludziach coś pęka, przestają się bać. Na koniec zaś ruszają w tzw. „tango”, czyli bawią się na potęgę, odraagowując chwilę strachu, niemocy, zniewolenia.

Mam nadzieję, że i w moim lokalu oraz w lokalach moich kolegów i nieznajomych taki powirusowy karnawał się zacznie, a tym samym sporo z istniejących restauracji i barów przetrwa. Ich dalsze istnienie to być albo nie być dla ich właścicieli, ale też dla kilkadziesiąt pracowników tychże firm.

WIESŁAW STEBNICKI

Reklama na
www.bieszczadzka24.pl

dociera na

CAŁY ŚWIAT

Informacje w redakcji

od poniedziałku

do piątku

w godzinach 8.00-15.00

redakcja@bieszczadzka24.pl

EFL
GRUPA CRÉDIT AGRICOLE

Wybierz nasz
pomysł na leasing

PRZEDSTAWICIELSTWO W SANOKU
38-500 Sanok, ul. Orzeszkowej 5
tel. 13 464 22 64, 13 464 22 66



INFORMACJA

Działając zgodnie z art. 35 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2020 r. poz. 65 ze zm.), informuję, że w Urzędzie Gminy w Czarniej (Czarna Górna 74) na tablicy ogłoszeń wywieszony został wykaz na okres 21 dni, to jest od dnia **24.04.2020 r.** do dnia **15.05.2020 r.** nieruchomości przeznaczonej do najmu – część nieruchomości nr ew.: 557/7 o pow. 0,1000 ha, położonej w m. Czarna Górna, na czas oznaczony - 3 lata z nowym najemcą.

Wójt Gminy Czarna
Bogusław Kochanowicz

OGŁOSZENIA
DROBNE

OGŁOSZENIA
DROBNE

* **ZWROT PODATKU Z PRACY, RODZINNE, URLOPOWE** (Niemcy, Austria, Norwegia, Anglia, Belgia, Holandia) tel. **663 712 920**, e-mail: am.ferenc@wp.pl

* **Sprzedam** las w Chwaniowie koło Wojtkówki o pow.1,2 ha. Kontakt 602 126 944,606 713 909.

* **Kupię** mieszkanie w Ustrzykach Dolnych do 40 m², do drugiego piętra. Tel. 512 350 149

***Kupię** mieszkanie w Ustrzykach Dolnych do 40 m² bez pośredników. Tel. 602 120 813

***Kupię** mieszkanie w Ustrzykach Dolnych - 3 pokoje + duży balkon do 2 piętra tel. 888 569 976

***Sprzedam** mieszkanie bezczynszowe Czarna Górna o pow. 62.45 m², parter, 3 pokoje z dużym balkonem. Cena do uzgodnienia. Tel. 724 507 021

KONKURS BIESZCZADZKIEGO PARKU NARODOWEGO



Fot. Ewa Bujalska

Uroczą rośliną pokazaną na zdjęciu zakwita od marca do maja. Występuje pospolicie w całym kraju, pojawiając się w grądach i buczynach. Jej nazwa naukowa pochodzi od łacińskiego słowa pulmos = płuca i obscura = ciemna, gdyż używana była dawniej jako lekarstwo na choroby płuc, a jej liście nie mają zwykle jasnych plam, które występują na liściach innych, pokrewnych gatunków. Z kolei polska nazwa rodzajowa nawiązuje do delikatnego zapachu miodu. Co ciekawe młode kwiaty mają barwę różową, później stają się niebieskie, by w końcu zmienić się w

fioletowe. Zmiana barwy spowodowana jest reakcją barwnika (antocyjanu) na zmianę kwasowości soku komórkowego. Kwiaty zapylane są przez błonkówki, a nasiona zaopatrzone są w elajosom. Wartości odżywcze elajosomów sprawiają, że są one zjadane przez mrówki, które przyczyniają się do rozsiewania nasion.

Jak nazywa się opisana przez nas roślina. Odpowiedzi prosimy przysłać wyłącznie mailowo na adres: konkurs@bieszczadzka24.pl do 30 kwietnia 2020 r.

Spośród prawidłowo nadesłanych odpowiedzi rozlosujemy nagrodę, która będzie do odebrania w Ośrodku Edukacji Ekologicznej BdPN w Ustrzykach Dolnych lub po uzgodnieniu zostanie przesłana przesyłką pocztową. Prawidłowa odpowiedź zagadki z nr 6/2020 „GB” to: śnieżyca wiosenna (Leucjum vernalis). Podgatunek występujący w Bieszczadach - śnieżyca karpacka charakteryzuje się tym, że na lodydze występują dwa kwiaty. Nagrodę wylosował: Pan Łukasz Sztaba.

Redakcja: 29 Listopada 31,
38-700 Ustrzyki Dolne
www.bieszczadzka24.pl;
e-mail: redakcja@bieszczadzka24.pl
Tel. 13 461 28 16



Redaguje zespół: Krzysztof Potaczała – redaktor naczelny, Paulina Bajda – dziennikarz, Adam Leń – desktop publishing.
Wydawca: Ustrzycki Dom Kultury, ul. 29 Listopada 31, 38-700 Ustrzyki Dolne, Tel. 13 461 13 22
Nakład: 1600 egzemplarzy
Druk: Polska Press Sp. z o.o., oddział Poligrafia, drukarnia w Sosnowcu

Redakcja zastrzega sobie prawo redagowania tekstów dziennikarskich, ich skracania, opatrywania własnymi tytułami i śródtytułami, ilustrowania. Za treść ogłoszeń, reklam i listów redakcja nie odpowiada.

Ogłoszenia i reklamy: cena za 1 cm² na stronie ogłoszeniowo-reklamowej: czarno-biały - 1,00 zł netto, kolor - 1,50 zł netto. Szczegółowy cennik ogłoszeń i reklam: www.gb.media.pl (zakładka: reklama-cennik). Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy przyjęcia reklamy lub ogłoszenia.

